Nr. 6. Kraków, 15 Marca 1892 r. Rok II.

MYŚL

Dwutygodnik literacko-społeczny i Dodatek ekonomiczno-przemysłowy.

Od Administracyi.

Przypominamy Sz. Prenumeratorom kwartalnym, że czas odnowić przedpłatę, dla uniknięcia przerwy w otrzymywaniu naszego pisma.

REFORMA WALUTY
w Austro-Węgrzech.

I.

W rozwoju ludzkości pierwiastek ekonomiczny odgrywa niepoślednią rolę. Wiele faz i kierunków na drodze przeobrażania się społeczeństw dałoby się snadniej wytłomaczyć, gdyby się wiącej uwzględniało stan i rozwój równoczesny gospodarstwa społecznego, będącego silnym, choć cichym motorem wszystkich ruchów społecznych.

Dwie dadzą się odróżnić epoki historyczne gospodarstwa społecznego: jedną jest epoka gospodarstwa samoistnego, izolowanego, w której każda jednostka dla własnej potrzeby wszystkie przedmioty wytwarza w własnem gospodarstwie. Nie ma tu śladu pieniądza, jako środka zamiany, bo ta nie istnieje: każde gospodarstwo samo sobie wystarcza i nie jest zależnem od drugiego.

W epoce drugiej różniczkuje się produkcya, zależnie od warunków miejscowych, klimatycznych, narodowych, od zdolności i skłonności całych warstw społecznych lub jednostek poszczególnych. Skutkiem podziału produkcyi, gospodarstwa tracą dawną niezawisłość od siebie, każde gospodarstwo musi częś swych wytworów poświęcić na zaspokojenie drugiego gospodarstwa, musi częś swych wytworów zamienić na inne jemu potrzebne a w obcem gospodarstwie produkowane. Wytwarza się o b r ó t między poszczególnemi jednostkami gospodarczemi, stąd nazwa epoki gospodarstwa obrotowego. Obrót odbywa się tu albo w sposób pierwotny, naturalny według zasady: wytwór za wytwór, albo za pośrednictwem pieniądza albo wreszcie na zasadzie kredytu. — Pierwszy sposób ma miejsce w fazie gospodarstwa naturalnego. Jest on niedogodny i wcale nie odpowiada potrzebom rozwiniętego gospodarstwa społecznego, bo brak tu stałego miernika wartości, brak wspólnego mianownika, pod któryby można podciągnąć wszystkie dane przy zamianie ilości. — Drugi sposób obrotu znajdujemy w fazie gospodarstwa pieniężnego: Pewien wytwór zazwyczaj kruszec (złoto, srebro, platyna itd.) stanowi ogólny i powszechny, przynajmniej na pewnem terytoryum, miernik wartości, a zarazem środek do uiszczania się przy różnych zobowiązaniach.

W trzeciej i ostatniej fazie gospodarstwa kredytowego odbywa się wszelka zamiana przeważnie drogą obustronnego kredytu i wzajemnej kompensaty przy zamknięciu rachunków dwóch poszczególnych jednostek gospodarczych. Wielkie korzyści przemawiają za wzrostem i rozszerzeniem się gospodarstwa kredytowego. Strony zamiast wypłacać gotówką udzielają sobie papierów kredytowych (weksli, czeków, ceduł morskich, warrantów itd.), które same przez się nie przedstawiają jeszcze żadnej wartości; otrzymujący takie papiery kredytowe może jednak za ich pośrednictwem otrzymać wytwory z cudzego gospodarstwa, przelewając na nowego wierzyciela swoje prawa do pierwotnego wydacy owych papierów. Obligi kredytowe mają tę zaletę, że w razie zniszczenia, nie powodują zaniku żadnego elementu gospodarczego, bo można dla tego samego zobowiązania powtórnie je wydać, podczas, gdy naprzykład złoto lub srebro, zginąwszy w drodze morskiej, całkiem zatraca się dla celów gospodarczych. Papiery kredytowe dadzą się z mniejszym kosztem i niebezpieczeństwem przenosić z miejsca na miejsce a przytem nie ulegają zmniejszeniu się na wartości efektywnej, skutkiem ustawicznego ścierania się i zniżki na wadze. — Kredyt wszakże dostępnym jest tylko jednostkom ekonomicznie silniejszym, słabsi dla braku kredytu nie mogą iść w zawody z tamtymi i giną powoli w tej niemej, acz napozór prawnej, walce ekonomicznej. Gdzie kapitał sprzęga się z pracą i stosownie do jakości przedsiębiorstwa odpowiedni między tymi czynnikami zachodzi stosunek, tam według o b e c n y c h zasad produkcyjnych najlepszy i najodpowiedniejszy zyskuje się rezultat. Brak kapitału zastępują jedni kredytem, drudzy nie mogąc go uzyskać, tracą samoistność i niezależność gospodarczą i wszystkie potrzeby swoje muszą zaspakajać wytworami cudzych gospodarstw. Kredytu nie posiada np. urzędnik, żyjący z usług osobistych, niema go robotnik, żyjący z pracy rąk, którego całym kapitałem jest siła fizyczna, przy niewielkiem czasem fachowem wykształceniu — ale przedsiębiorca - kapitalista łatwo kredyt uzyska i przy jego pomocy uczyni wydatniejszą swą gospodarczą działalność.

Żyjemy dziś w fazie mieszanej: pieniężno-kredytowej. Na pozór niema kwestya waluty, w chwili ustawicznego rozwoju stosunków kredytowych, tak wielkiego i rozległego znaczenia; pieniądz jest pozornie mniej potrzebnym, jako środek wymienny, skoro go kredyt zastąpić może; ze względu jednak na równoczesny rozwój wszelkich czynników społecznych równolegle z rozszerzeniem się i udoskonaleniem techniki gospodarczej, dalej ze względu na to, że z wydajnością pracy ludzkiej, równocześnie zwiększa się i zapotrzebowanie produktów i ich konsumcya przechodząca od warstw wyższych do coraz to niższych, śmiało przypuścić można, że wraz z rozwojem stosunków kredytowych nietylko nie zmniejszyła się doniosłość i potrzeba pieniędzy, ale owszem wzrosła olbrzymio. Zważywszy przecież, że pieniądz jest środkiem wymiany, któremu państwo drogą ustawy nadaje moc zwalniania od zobowiązań, czyli nadaje walutę (znaczenie prawne), że sposób oznaczania wysokości tej waluty dla poszczególnych jej elementów (kruszców, papieru) może być i jest rzeczywiście w różnych państwach różnym, następnie, że w stosunkach międzynarodowych w dziedzinie ekonomicznej potrzebnem jest jakieś medium wymiany, na które wpływ ma krajowa waluta, — łatwo każdy pojmie, że kwestya waluty tak w teoryi, jak i w praktycznem zastosowaniu jest nader ważną i niezmiernie zawikłaną.

Reforma waluty stanowi rękojmię dobrobytu wszystkich warstw społecznych; próby nieudałe lub z widoczną dla warstw ekonomicznie silniejszych korzyścią podjęte, prowadzą do większego rozłamu między kapitałem a pracą, zaostrzają kwestyę socyalną, a same bezpośrednio żadnego dodatniego rezultatu dla sprawiedliwego rozdziału dóbr między kapitałem a pracą nie przynoszą. Wszelka zaś reforma ekonomiczna, czy nią jest reforma stosunków robotniczych, czy waluty, czy jakakolwiekbądź inna, powinna być zawsze podjętą w duchu zasady sprawiedliwego dóbr rozdziału, aby prawne normy, regulujące pewien stosunek, nie stały się same źródłem i powodem niesłuszności.

Julian G.

NASZE INSTYTUCYE FINANSOWE.

III.

Towarzystwo Zaliczkowe w Krakowie.

Samodzielną przedsiębiorczość, roztropną oględność i wytrzymałość zawsze i wszędzie wysoce cenimy, w przemyśle zaś i handlu są te przymioty nieodzownie potrzebne. Otóż ta samodzielna i roztropna przedsiębiorczość, nie wyczekując zachęty ani pomocy, lecz jedynie ochrony ze strony państwa, stworzyła podwaliny wszechświatowego mocarstwowego stanowiska Anglii i dobrobytu angielskich obywateli, dała początek Zjednoczonym Stanom północnej Ameryki. Gdzie przemysł i handel na cudzą, dobroczynną pomoc się ogląda, tam sztucznie tem współdziałaniem wytworzony, na kruchych tylko spoczywa podstawach a nie umiejąc sobie radzić własnemi siłami, prędko podupada.

Przedsiębiorczością i samopomocą jednostek stoi dzisiaj przemysł i handel na zachodzie; nic też dziwnego, że u nas, gdzie takie jednostki rzadkiemi są zjawiskami, wskutek licznych przeszkód, w zupełności upaść musiał.

Istniejącemu złemu zaradzić, jednostki do działania pobudzić, otuchy i zaufania we własne siły im dodać, samopomocy nauczyć, było celem ludzi, którzy opierając się na wzorach Schulze'go z Delitsch, poczęli w kraju naszym szerzyć ideę samopomocy i do zawiązywania stowarzyszeń zarobkowych, gospodarczych i kredytowych zachęcać. Przed laty dwudziestu z pobłażliwym uśmiechem przypatrywał się kraj energicznemu zapałowi jednostek, nie rozumiejąc, że stowarzyszenie się słabych silnymi ich uczynić może. Trzeba więc było walczyć z nieświadomością, uprzedzeniem i niedowierzaniem.

Fakta dokonane zawsze są najlepszymi argumentami. Dobrze o tem wiedząc, faktem dokonanym niedowiarków przekonać postanowił ten, co duszą był i jest krakowskiego Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń od ognia, kiedy w roku 1869 nakłonił Radę nadzorczą tegoż towarzystwa do założenia „Towarzystwa Zaliczkowego dla miasta Krakowa oraz dla powiatów: krakowskiego i chrzanowskiego“. Dyrekcya Towarzystwa Wzaj. Ubezp. wypracowała statut dla nowego towarzystwa, uzyskała jego przez rząd zatwierdzenie, umieściła je w zabudowaniu Tow. Wzaj. Ubezp., uzyskała u Rady Nadzorczej fundusz, potrzebny na pierwsze urządzenie i lokacyę pewnych kwot na rachunek bieżący; przyjęła na siebie ciężar sprawowania obowiązków dyrekcyi, zdobyła dla nowej instytucyi zaufanie w kołach krakowskich, a to wszystko celem dostarczenia kapitału obrotowego mniejszym właścicielom ziemi, rzemieślnikom, robotnikom, drobnym przemysłowcom, dla stworzenia im łatwego kredytu.

W dniu 3 Stycznia 1870 rozpoczęło się działanie nowego towarzystwa, liczącego tylko 56 członków. Z końcem roku było ich już 460 z udziałami deklarowanymi na 22.615 złr. a upłaconymi w kwocie 13.388 złr. Dwa razy więcej, bo 27,804 złr. powierzyły nowej instytucyi na rachunek bieżący: Towarzystwa Wzajemnych ubezpieczeń i krakowska Kasa Oszczędności. Przy takiej pomocy a pod kierunkiem dyrekcyi, złożonej z Henryka Kieszkowskiego, Henryka hr. Wodzickiego i Władysława Biesiadeckiego musiało nowe towarzystwo szybko się rozwijać. To też już z końcem drugiego roku (1872) ma 800 członków, a bilans wykazuje 33.299 złr. udziałów wpłaconych. „Przed kilku jeszcze laty, byłoby to było zagadką, na pozór nie do rozwiązania, aby ci, którzy kredytu potrzebują a zatem funduszu nie mają, do własnego kapitału przyjść mogli“ — powiada sprawozdanie dyrekcyi za rok 1872; rozwiązanie zagadki tej nastąpiło, bo mając 70.541 złr. własnego kapitału, pochodzącego z udziałów, mogło towarzystwo z r. 1872 uzyskać 100.042 złr. od Kasy Oszczędności, Tow. Wzaj. Ubezp. i różnych osób na rachunek bieżący, i tak jedną jak drugą sumę użyć na eskontowanie weksli swych członków.

Do końca roku 1873 kierowała towarzystwem dyrekcya Tow. Wzaj. Ubezpieczeń. Towarzystwo mogło już stanąć o własnych siłach; chodziło jedynie o utrwalenie uzyskanych rezultatów i dalszy rozwój, a pieczę około tego należało powierzyć dyrekcyi z grona samych członków towarzystw wybranej. Spełniwszy swe zadanie, ustąpili pp. Henryk Kieszkowski i Henryk Wodzicki, pozostawiając własnym losom 1628 członków a członkom 109.113 złr. udziałów, 112.300 f. na rachunku bieżącym i 3967 złr. funduszu rezerwowego, pomimo, że tytułem dywidendy przez lat cztery po 10% wypłacali.

Nastąpiła nowa organizacya towarzystwa, w myśl przepisów ustawy z r. 1873 o spółkach zarobkowych i gospodarczych. Za rok 1871 zdaje sprawę z działalności nowego „Towarzystwa Zaliczkowego w Krakowie, spółki zarejestrowanej z nieograniczoną odpowiedzialnością“ dotychczasowy kasyer a po ustąpieniu pp. Kieszkowskiego i Wodzickiego, jedyny dyrektor Józef Rogala Kiciński. I liczba członków i udziały wzrastają tak w r. 1874 jak i w 1875, ale — to nieuczynne „ale“ — pojawiają się już pogłoski, świadczące o zachwianiu zaufania do działalności nowego dyrektora. Wprawdzie Dr. M. Machalski, prezes rady nadzorczej, stara się na zgromadzeniu walnem z r. 1876 wykazać ich bezpodstawność, ale tak bardzo bezpodstawnemi być one nie musiały, skoro za rok 1876 dostają członkowie już tylko 4% dywidendy a na wniosek komisyi kontrolującej poleca Walne Zgromadzenie odpisanie wątpliwych należytości wekslowych w kwocie 4065 złr. To pierwsza strata. W roku następnym dochodzi ona już 6000 złr. W roku 1878 dywidendy już wcale niema, a na pokrycie niedoboru przeznacza się 5394 złr. z funduszu rezerwowego; w r. 1879 również z funduszu rezerwowego 4784 złr. Liczba członków w r. 1976 spadła na 967, udziały z 201.000 złr. na 84.000 złr., rachunek bieżący z 161.000 na 66.000 złr., fundusz rezerwowy z 16.500 złr. na 2.000 złr. Ale to nie koniec.

Oto, co czytamy w sprawozdaniu za rok 1880. „.... nie wiele brakowało, że fakt przyaresztowania dawnego dyrektora (Józefa Rogala Kicińskiego) i przebieg procesu karnego nie stały się powodem zachwiania się naszej instytucyi. Towarzystwo Zaliczkowe, założone przed 10 laty, rozpocząwszy pomyślnie swą działalność, po kilku latach istnienia poczęło chromać a nie tajno szanownym członkom, że złe rozpoczęło się od chwili, kiedy były dyrektor usamowolniwszy się z pod ściślejszego nadzoru Dyrekcyi Towarzystwa Wzaj. Ubezpieczeń od ognia, rozporządzając naówczas mocniejszymi kapitałami, począł je umieszczać nieoględnie w rękach niepewnych dłużników. Tym sposobem stało się, że nietylko poprzepadały tysiące w kapitale i odsetkach, ale co więcej towarzystwo wydało na koszta sądowe około 25.000 złr., z których tylko 16.000 złr. do Kasy bez procentu wróciło. W chwiii rozpoczęcia działalności dyrekcyi kolegialnej tj. od 8 lipca 1878 zastała takowa kilkadziesiąt tysięcy na wekslach zaskarżonych, które trzeba było egzekwować, zastała kilkanaście tysięcy zaległych odsetek i koszta sądowe — wszystko w stanie czynnym wykazane. Zestawione w ten sposób bilanse, wykazujące złudne zyski, były powodem nakładania coraz większych podatków, gdy nadto koszta administracyi były znaczne, nie mogło inaczej wypaść, jak, że za lata 1878 i 1879 nietylko nie było z czego dywidendy wyznaczyć, ale nadto okazały się straty. Obecnie przedstawia się konieczność nietylko wzięcia resztek funduszu rezerwowego na pokrycie strat, ale nadto użycia na ten cel 35% z udziałów“.

Powtarzamy te smutne rzeczy za dyrekcyą, złożoną podówczas z pp. Władysława Rozwadowskiego, Stanisława Gołemberskiego i Adolfa Czascha, bo są one klasycznym przykładem, jak u nas stowarzyszenia jedynie pracą jednostek stoją i wzrastają, a wskutek nieuczciwości i niedbalstwa jednostek, upadać mogą.

O wiele łatwiej założyć instytucyę nową, w życie ją wprowadzić i zaufanie dla niej pozyskać, aniżeli z ruiny wznosić budynek nowy, wśród braku zaufania i stracone zaufanie odzyskiwać. Praca to uciążliwa, mozolna, niewdzięczna, nigdy należycie nie oceniona.

Skutki katastrofy trwają zwykle czas dłuższy, to też wśród tak trudnych warunków, moralnie jeszcze w roku 1880 uzdrowione, zaczyna się Tow. Zaliczkowe dopiero w r. 1882, po przebyciu przesilenia, materyalnie podnosić. I znowu jednostka powołaną została do tego, aby towarzystwo z upadku dźwignąć. Od roku 1883 staje na czele dyrekcyi Tow. p. **Przemysław Kotarski**, człowiek skromny, cichy, ale wytrwały, który, świadom swego trudnego zadania, niezmordowanie pracuje nad powolnem ale stałem i skutecznem zrehabilitowaniem tej instytucyi, co w krótkim czasie tak wiele zmian losu doświadczyła. Ośmioletnia praca musiaia przynieść rezultat, to też w bilansie za rok 1890 widzimy, że udziały wynoszą już 89.151 złr.; wkładki oszczędności — dowód najlepszy odzyskanego zaufania — 225.839 złr. sumę, jakiej Towarzystwo nigdy jeszcze w swych księgach nie wpisało, fundusz rezerwowy 12.355 złr., a od roku 1877 zysk po raz pierwszy dochodzący 5.825 złr.; ogólny ruch kasowy 4.099.106 złr. sumę, od której większą wykazują tylko towarzystwa w tak przemysłowych miejscowościach jak Gorlice, Kołomyja, Lwów i Towarzystwo Wzajemnego Kredytu we Lwowie.

Cześć takiej pracy jednostki! I znowu jeden dowód więcej, że u nas instytucye jedynie pracą jednostek stoją.

SEJM GALICYJSKI.

Pierwsze posiedzenie 3-ciej sesyi VI peryodu sejmu galicyjskiego zagaił 3 b. m. marszałek kraju, ks. Sanguszko, wyrażając ubolewanie, że w roku ubiegłym parlament nasz nie był wcale zwołanym. Sejm zebrał się w chwili dla kraju bardzo krytycznej: z jednej strony deficyt budżetowy — z drugiej widmo klęski głodowej i zastój na polu szkolnictwa ludowego. Dotąd wniesiono do laski marszałkowskiej trzy wnioski w sprawie polepszenia doli nauczycielstwa.

Posłowie: Asnyk, Kramarczyk i Zoll wymownie przedstawili walkę, jaką staczać musi biedny krzewiciel oświaty ludowej w Galicyi, pobierający 200 złr. pensyi rocznej. Wnioskodawcy zgadzają się na to, iż uposażenie nauczyciela nie może być niższem, jak 300 złr. rocznie.

Poseł Sawczak domagał się założenia w południowo-wschodniej części Galicyi gimnazyum z ruskim językiem wykładowym.

Poseł Potoczek interpelował rząd, kiedy odpisane zostaną włościanom podatki i czy koleje przewiozą żywność dla zagrożonych głodem włościan — bezpłatnie.

W składzie stronnictw sejmowych nie zaszły żadne zmiany.

Nr. 6. Kraków, 15 Marca 1892 r. Rok II.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi w Krakowie:
rocznie . . . 7 złr. 20 centów
kwartalnie . 1 „ 80 „
miesięcznie . — „ 60 „
Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie 5 ct.
Numer pojedynczy kosztuje 30 ct.
Rękopismów drobnych nie zwraca się.

MYŚL

Prenumerata na prowincyi
i w całej Monarchii Austro-Węgierskiej wynosi
rocznie 8 złr. — ct., kwart. 2 złr. — ct.
W Niemczech:
rocznie 16 m., pół rocznie 8 m., kwartal. 4 m.
We Francyi:
rocznie 20 franków, kwartalnie 5 fran.

Redakcya i Administracya znajdują się w Krakowie przy ulicy Zielonej L. 8, gdzie też uprasza się nadsyłać wszelkie przekazy i pisma. — Prenumeratę przyjmują również na miejscu wszystkie księgarnie; we Lwowie księgarnie: Seyfartha i Czajkowskiego oraz Altenberga, a pojedyncza sprzedaż w biurze L. Plohna. W Poznaniu: księgarnia J. Leitgebra.

„TAJEMNICE KRAKOWA“.

Jedno z pism krakowskich, uchodzące w pewnych sferach za „szczyt niewinności“ — niezawodnie w dwuznacznem tego słowa znaczeniu — wystąpiło przeciwko nam w roli prokuratora. Wprawdzie władza niewinnego organu nie sięga tak daleko, ażeby mogła spowodować konfiskatę „Myśli“ a wpływ jego jest tak mizerny, że trudno posądzić pismo o jakiekolwiek oddziaływanie na „opinię publiczną“ — mimo to jednak uważamy sobie za obowiązek z redakcyjnego stanowiska kilkoma słowy odpowiedzieć tym, którzy nas pomawiają o niepoważne traktowanie odkryć „Przeglądu Powszechnego“. Przedewszystkiem — „Tajemnice“ owe nie były dla nas wcale tajemnicami. Nie naszem zadaniem — pouczanie policyi, w jaki sposób ma tępić wstrętną pornografię; w tym wypadku należy inicyatywę pozostawić całkowicie c. k. władzom.

Natomiast obowiązkiem publicystyki jest zabrać głos w kwestyi książek i pism, jakich dostarczają u nas w przeważnej części t. z. antykwarnie i wypożyczalnie.

Nieraz już „Myśl“ poruszała na tem miejscu sprawę czytelnictwa galicyjskiego i zawsze dochodziła do smutnych bardzo wyników, że nigdzie mniej nie zajmują się literaturą, niż u nas, pomimo przyjaznych warunków politycznych. Dziennik i książka — to są nasze zbytki! Człowiek zamożny nawet nie waha się apelować do redakcyi o zniżkę „wskutek stagnacyi“, choć nie używa takiej taktyki wobec krawca, szewca, restauratora i t. d.

Dobrze ktoś powiedział, że Galicya mogłaby się śmiało obejść bez pism — lokalnych wiadomostek dostarczą próżniacy i „ciocie plotki“, zamiejscowe znajdą się zawsze w „Blattach“ i „Pressach“. Smutne to, ale prawdziwe! „Inteligent“ galicyjski nie ma żadnej potrzeby prenumerowania dziennika, nie poczuwa się do moralnego obowiązku popierania literatury, uważa ją jedynie za „szmatę“, którą warto przejrzeć w knajpie lub cukierni.

A kobiety? — zapytacie. Tak, panie dostarczają u nas względnie największego kontyngensu czytelników, ale, gdy „panowie“ smakują w polityce europejskiej i miejskiej, połowice ich monopolizują dla siebie beletrystykę. I tutaj odkrywa się rąbek zasłony. Inteligencya naszych kobiet stoi, jak wiadomo, na bardzo niskim poziomie. Panny, kształcone w seminaryach i klasztorach nie znajdują tam prawdziwie duchowej strawy, lecz ożywione pragnieniem jak najprędszego opuszczenia zakładu, odrabiają zadane lekcye, jak pańszczyznę, nie pogłębiają żadnej z nauk, nie zaprawiają się do dalszych, poważniejszych studyów. W chwilach wolniejszych — czytają, bez dyrektywy, to, co im w rękę wpadnie. Oczywista, że w pannach 16-to i 17-to letnich budzą się już żądze zmysłowe, potęgowane, wskutek braku zamiłowania do pracy s e r y o. Tu źródło choroby. Zola, Maupassant, Bourget i tym podobni autorowie bardziej odpowiadają smakowi dziewic dojrzałych płciowo, niż romantycy i pisarze poważniejsi. Popyt na takie dzieła rośnie — kupiec — antykwarz musi się doń zastosować.

Byliśmy raz świadkami charakterystycznego zdarzenia. Młoda panna zażądała książki: „O miłości“ francuskiego autora, którego nazwiska niby nie zapamiętała. Księgarz podaje Michelet'a i Bourget'a. Dziewica nagle sponsowiała, i wskazując na „Fizyologię miłości“ rzekła: „O tę mi chodziło“. — Wykazaliśmy tedy, że nie dość jest opublikować rzecz o rozpowszechnianiu książek treści naturalistycznej, nie dość postawić dyagnozę choroby, ale trzeba ją zbadać u źródła, a ewentualnie zaradzić skutecznie. Niech publiczność małoletnia nie żąda Zoli, Bourgeta, a niezawodnie antykwarz wykreśli te dzieła z katalogu, trudno jednak wymagać, aby żyd, kupiec odgrywał rolę moralizatora w obec zgłaszających się doń klientek. Obowiązki te winny być udziałem grona starszych i gruntownie wykształconych kobiet, któreby niejako tworzyły wydział stowarzyszenia umysłowego dla panien. Mamy niestety „panieńskie bale i pikniki“, podniecające tylko zmysły, wartoby więc pomyśleć o zastąpieniu tych szkodliwych zabaw instytucyą pożyteczną i trwałą, gdzieby przyszłe żony i matki nie flirtowały, lecz znajdywały pokarm dla ducha i umysłu. Rozumna organizacya takich towarzystw kobiecych pod kierunkiem postępowych i inteligentnych prawdziwie pań zaradzi złemu, dziś istniejącemu, daleko skuteczniej, niż tomy „Tajemnic“ dawno wiadomych i zamknięcie kilku księgarń.

Falującego prądu nie zatamuje żaden prokurator, a tem mniej żaden dziennikarski oskarżyciel!

W zakończeniu winniśmy jeszcze zwrócić uwagę naszego antagonisty na to, iż znakomitych pisarzy francuskich w rodzaju Zoli, Bourget'a nie wypada obdarzać epitetami szewskich niedorostków.

Co prawda, Zola i Bourget nie wiele robią sobie z inkryminacyj niewinnego pacholęcia, które wypadałoby jeszcze posłać na „dobre mamki“.

Z CYKLU PIEŚNI: „Z DOMU NIEWOLI“.

SURSUM CORDA!

Ponad tę walkę, co rwie ludzkie siły,
Ponad te ślady, które krwią się znaczą,
Nad te mgły szare, co nam słońce śćmiły,
Nad beznadziejność zapadłej mogiły
Któraby życie zatruła rozpaczą —
Ach, w górę serca! ty zastępie młody,
Czujesz... pod stopą drży ci próg swobody.

I ponad wężów gadzinowe syki
Którym wygodne — ciepłe legowiska,
Ponad zaprzańców tchórzliwe okrzyki
Co narodowe zdusili ogniska
I myśli każdej boją się co błyska
I w krwi się stroi ofiarną purpurę —
Ponad to wszystko — młode dusze — w górę!

Ponad tę ciszę zastoju grobową
W której pełzają — pogodzeni z losem,
Wystrzel młodości dumną twoją głową
I rzuć jak piorun twoje żywe słowo,
Walcz twojem ciepłem, światłem, pieśni głosem,
I raz porwana odrodzenia ruchem —
Na tej wyżynie trwaj — niezłomnym duchem!

SZCZĘSNA.

FLIRT W POWIEŚCI.

(ESTEJA).

Ażeby ocenić, jaka jest różnica w stopniu doskonałości wykonania artystycznego, kiedy Esteja bierze temata z ulubionej sfery, dość zestawić i porównać opowieść: „W sercu garbuska“ z obrazkiem kanadyjskim „Mea.“ Tam gładkie tylko przedstawienie rzeczy, tu siła, werwa, żywość, plastyczność, dowcip, rozmaitość i w znacznej części prawda. Bo „Mea“, to odmiana lady Dolly z jej nieustraszonością i bezwarunkowością w wymaganiach względem wielbicieli. Korzystając ze swobody panien amerykańskich, Mea dla wyprobowania swego narzeczonego, który nie chciał podzielić jakiegoś jej sądu, wybiera sobie na statku, tak na poczekaniu, drugiego narzeczonego w osobie Francuza, który z wielką fantazyą, nadzwyczajnem ugrzecznieniem, ale nie dużą odwagą, bierze na seryo narzuconą sobie rolę i dla miłości milionów stara się spełnić wszystkie zachcenia bohdanki. Męczy się okrutnie, dźwigając ciężki pakunek do hotelu, bo Mea była przekonania, że nie należy brać dorożki, włazi na drzewo w cudzym, opuszczonym ogrodzie, by nałamać gałęzi, bo Mei przyszła ochota upiec sobie kartofli i t. p. Wszędzie jak cień towarzyszy zdala tej parze pierwszy narze-

czony i pojawia się w chwili niebezpieczeństwa. Gdy Mei błysła w głowie fantazya zejść na spód wodospadu i gdy Francuz pomimo czci dla milionów nie chciał narazić życia, William zeszedł z nią razem, dobył z wody jakieś wskazane sobie zielsko, oddał je Mei i nie mówiąc ani słowa, oddalił się. Mea już wtedy poczuła, jakim skarbem jest William, ale duma jej nie pozwoliła narazie uznać swej winy; dopiero po niejakim czasie, zrzuciła pychę z serca i sama zbliżyła się do Williama, który ją czcił jak bóstwo.

Nie myślę utrzymywać, iżby wszystkie szczegóły, przytoczone w tym obrazku tchnęły prawdą realną; zdaje mi się owszem, że autorka zestawia dowolnie rysy zauważone w odmiennych trochę od siebie sferach; ale choćby szczegóły materyalne niezupełnie były prawdziwe, prawda psychiczna w zobrazowaniu zachcianek Mei nie może być podawana w wątpliwość; analogicznych objawów nie potrzeba szukać, aż za oceanem; można je znaleźć i na gruncie rodzinnym. Przytem żywość opowiadania, komizm sytuacyi, dowcip w rozmowach, przesłaniają braki prawdopodobieństwa i czynią ten obrazek kanadyjski bardzo udatną humoreską.

Tak więc to, co lekkie, wesołe, komiczne, swobodne, albo nawet swywolne, znalazło pod piórem Estei wyśmienitą niejednokrotnie wyrazistość, gdy to, co poważne, szlachetne, wzniosłe, tragiczne, wychodzi z jej przedstawienia jako komunał bez życia, albo co najwyżej jako robota poprawna, gładka, ale nie uderzająca prawdą obserwacyi, ani też przejmująca dreszczem silniejszego uczucia.

Zdaje się, że autorka ma świadomość tej właściwości swego talentu, a ponieważ jest indywidualistką w artyzmie, wyrobiła więc sobie pewną teoryjkę, usprawiedliwiającą i wybór tematów i sposób ich obrabiania. Teoryjkę tę wygłosiła przez usta bohaterki „Mojego testamentu.“ Jest to arystokratka, pojmująca arystokracyę w znaczeniu panowania „najlepszości“, szlachetna, rozumna, smętnie dowcipna, patrząca na wszystko z wyżyn duchowych, nieszczęśliwa, bo zagrożona dziedziczną chorobą anewryzmu serca, a jeszcze bardziej dlatego, że sama kochając, jak jej się zdaje, z głębi serca, obudziła tylko miłość nerwów i fantazyi w kuzynie swoim, artyście Stefanie. Ma więc niewątpliwie dużo powodów, by żądać od literatury czegoś wielkiego i głębokiego; tem charakterystyczniejszym więc — nie dla niej zapewne, ale dla autorki, co postać tę utworzyła — jest jej pogląd na zadanie poezyi, oraz krytyka naszego piśmiennictwa, wymierzona przeciw „wielkim celom“, które według niej „tak nas pochłaniają, że w każdej nowelce, powieści, wierszyku, bajce, jak szydła z worka wychodzą,—niestety, tak wszystko do owych celów nagięte, wyprężone, że biała nić fastrygi wszędzie na wierzchu.“

Dziwna rzecz, iż taka, niby głęboka, myślicielka, oddająca się z zamiłowaniem studyom poważnym, nie zrozumiała, że jeżeli „biała nić fastrygi“ wszędzie na wierzch wychodzi, to nie wielkie idee temu winny, ale nieumiejętność krawców-artystów. Jeżeli z dwu dzieł, odznaczających się jednakowemi zaletami artystycznemi, jedno przedstawia jakąś osobistość podniosłą, jakieś uczucie z najgłębszych warstw serca ludzkiego wydobyte, jakąś myśl, pokrzepiającą, a drugie — osobistość pospolitą, uczucie przemijające, myśl zwątpienia pełną; to z pewnością pierwsze będzie miało większą od od drugiego wartość nawet estetyczną, nietylko społeczną, bo nie rozstrój, ale harmonia; nie obniżanie poziomu natchnień, ale podnoszenie go było i jest zadaniem sztuki.

Autorka przez usta swej hrabianki odpowie na to, jak odpowiadali przed laty zwolennicy hasła: sztuka dla sztuki: „Tendencyjność zabija naturalność; nikt się widocznie nie trzyma zasady, aby pisać w celu zadowolenia siebie samego, swego estetycznego zmysłu. Wszyscy o tem myślą, aby olśnić publiczność wielkością wytkniętego celu. Obrok duchowny tu, obrok duchowny tam; nauczka na prawo, natarcie uszu na lewo; — a suchy, drewniany drogoskaz swoją pomalowaną z gruba, niezgrabną rękę wyciąga z frazesu każdego.“ Pomijając w tej zbieraninie frazesów jej nieskładność, zauważyć najprzód muszę, że użycie zbyt elastycznego wyrazu „tendencyjność“ mąci kwestyę, zamiast ją rozjaśniać, Jeżeli wyraz ten ma oznaczać naciąganie słów i sytuacyi do zgóry powziętej myśli, bez względu na istotny charakter osób i naturalny bieg spraw ludzkich, to oczywiście utwór artystyczny w ten sposób napisany nie posiada żadnej estetycznej wartości, chociażby najlepszemi odznaczał się intencyami. Pod tym względem nie może być najmniejszego sporu. Ale też takich utworów we współczesnej literaturze naszej nie mamy prawie wcale; tyrada zatem hrabianki chybia celu, bo się odnosić może do okresu już przebrzmiałego. Jeżeli zaś tendencyjność utożsamimy z wprowadzeniem do powieści lub poezyi zagadnień, mających głębsze znaczenie czy psychologiczne czy społeczne, z malowaniem ludzi nietylko bawiących się i flirtujących, ale też myślących i działających dla pożytku ogólnego, to protest hrabianki przeciw takiej tendencyjności byłby niedorzeczny, bo taka tendencyjność zgoła nie zabija naturalności, tylko jej zakres rozległy, właściwy objawom życia społecznego, przyznaje i na jaw wyprowadza.

Zasada pisania „w celu zadowolenia siebie samego, swego estetycznego zmysłu“, głoszona przez krańcowych indywidualistów, miałaby za sobą słuszność, gdyby artyści tworzyli dla siebie samych, a nie dla ogółu. A chociaż nie jeden poeta pisał tak, jak Kochanowski: „sobie śpiewam a Muzom“ — to przecież trudno to wyrażenie brać za co innego, jak za objaw chwilowego rozgoryczenia względem tego czytającego ogółu, o którego uznanie mu chodziło.

(Dok. nast.)

PIOTR CHMIELOWSKI.

KLĘSKA

(La débâcle).

POWIEŚĆ

przez

EMILA ZOLĘ.

2) CZĘŚĆ PIERWSZA.

I.

Ojciec umarł ze zmartwienia, siostra, zrujnowawszy się dla niego doszczętnie, miała to szczęście, że znalazła sobie męża, w postaci tego poczciwego Weissa, alzatczyka z Mülhuzy, który przez długie czasy był buchalterem w wielkiej rafineryi, istniejącej w Chêue-Populeux, dziś zaś jest głównym pomocnikiem p. Delacherche, jednego z wielkich fabrykantów sukna w Sedanie. I Maurycy sądził się sam gruntownie poprawionym przy swej nerwowości, równie łatwej do nadziei dobrego, jak do zwątpienia i poddania się złemu. Szlachetny, entuzyasta, ale bez żadnej stałości, z łatwością dawał się porywać wszystkim prądom wiatrów, nie bacząc na ich kierunek. Był to blondyn, mały, z czołem bardzo szerokiem i wyniosłem, nosem i brodą drobną, z twarzą rozumną, a oczach szarych i spojrzeniu pieszczotliwem, w którem jednak czasami, jakiś szał się pojawiał.

Weiss, w przeddzień rozpoczęcia kroków wojennych przybiegł z Milhuzy, wiedziony chęcią uregulowania jak najspieszniej jakiegoś interesu familijnego, a jeżeli dla zobaczenia się z Maurycym posłużył się dobremi chęciami pułkownika de Vineuil, to przyszło mu to tem łatwiej, że pułkownik był właśnie wujem młodej pani Delahorche, wdówki, w roku zeszłym zaślubionej przez fabrykanta sukna, którą zresztą Henryka i Maurycy znali, gdy była malutką, dzięki sąsiedzkim zbliżeniom. Przytem, oprócz pułkownika, Maurycy znalazł w kapitanie Beaudoin, dowodzącym jego kompanią, także znajomego tejże młodej pani Gilberty Delahorche, przyjaciela jej serdecznego, jak sobie do ucha szeptano, z czasów gdy mieszkała w Mezieres, będąc żoną p. Maginot, inspektora lasów.

— Uściskaj serdecznie Henię odemnie,— powtarzał Wejssowi młodzieniec, który kochał istotnie barzo swoją siostrę. — Powiedz jej, że będzie ze mnie kontenta, że będę się starał, aby mogła nareszcie być dumną ze mnie.

Łzy nabiegały mu do serca na wspomnienie jego szaleństw poprzednich. Szwagier Weiss, wzruszony także, przerwał tę rozmowę, zwracając się do Foucharda, artylerzysty.

— A jak będę przejeżdżał przez Rémilly, to wstąpię do wuja Foucharda i powiem mu, żem ciebie widział, żeś zdrów i masz się dobrze....

Wuj Fouchard, chłop, posiadający kawał ziemi i trudniący się handlem mięsa, a raczej jego rozwózką, był bratem matki: Henryki i Maurycego. Mieszkał w Rémilly, tam wysoko na stoku wzgórza o sześć kilometrów od Sedanu.

— Można... — odpowiedział spokojnie Honorat,—ojcu to wszystko jedno, ale zajdź do niego, jeśli masz ochotę... nic nie szkodzi.

W tej chwili około folwarku jakiś się ruch większy objawił i spostrzegli wychodzącego ze dworku tego człowieka, który się włóczył koło obozu i którego, jako szpiega aresztowano. Szedł wolny, prowadzony przez jednego tylko oficera. Zapewne musiał pokazać papiery swoje w porządku i opowiedzieć jakąś historyę, kiedy go tylko za obręb obozu wyrzucano. Z tak daleka, w cieniu zmierzchu, z trudnością rozpoznać było można rysy tego człowieka, ale dojrzeli jednak, że był to wysoki i tęgi, barczysty chłop z głową ryżawą.

WOLNE MYŚLI.

(FEILETON).

VI.

Zanim przystąpię do zbadania słabo tętniącego pulsu życia naszego grodu z ostatnich dwóch tygodni, winienem dać krótką odprawę „Kuryerowi Polskiemu“ *pro domo sua*, dla zbicia bardzo niesłusznie przeciwko mnie skierowanych zarzutów.

„Kuryerkowi“ zdaje się, że, pisząc poprzednie „Wolne myśli“, zamierzałem bronić antykwarń. Niewiniątko omyliło się. Mnie chodziło jedynie o to, aby publiczność, przerażoną odkryciami krakowskiego miesięcznika, nieco uspokoić, dlatego też z przysługującą fejletonistom swobodą, odjąłem całej sprawie nibyto tajemniczy charakter. Nie broniłem też swojej literatury, gdyż literatura antykwarń jest tak różnorodną, że znalazłoby się tam dużo dzieł, któreby mogły być czytane przez najbardziej skromnego współredaktora tego dziewiczego dziennika.

Faktem jest, że antykwarnie w pewnej mierze szerzą pornografię, ale zapobieżenie temu należy do policyi, a nie do nas, nie należało więc rzeczy powszechnie wiadomej otaczać aureolą niezgłębionej dotąd tajemnicy.

Że Taffety, Himmelblauy *et consortes* mają na składzie książki Zoli, Maupasanta, Catule Mendeza, Bałuckiego, Dygasińskiego i t. d., (bo i tych „Kuryer“ zalicza do pornografów), to według mnie zupełnie naturalne, gdyż antykwarze i właściciele wypożyczalń nie są wychowawcami narodu, tylko przemysłowcami-kupcami i dają to, czego publiczność żąda. Jakże niekonsekwentnym jesteś wesoły „Kuryerze“; potępiasz utwory powyższych autorów, drukując jednocześnie w fejletonie powieść, w której znajduję bardzo pikantny ustęp, gdzie znany autor daje wyraz wcale nie skromnemu pociągowi panny Flory do młodego Zakliki.

I nie zgorszyłaś się tem moralna duszo! Wszak takie naturalistyczne, całkiem zwykłe objawy, winny ci płoszyć sen z powiek w czasie snu młodzieńczego. A żyjesz przecież, pomimo zwiększającej się bladaczki!

Mówią, że masz się cny „Kuryerze“ przenieść na inne leże, bliżej dworca, zkąd ponoś niezadługo wywędrujesz na łono natury, aby umoralniać chłopów. Jeżeli to prawda, to każę ci w Krakowie postawić nagrobek z takim napisem:

„Tu leży „Polski Kuryer“, dziewiczy, niewinny,
Niemógł strawić Iwrapa, przeniósł się w świat inny.

Mam serce litościwe, a więc przechodzę nad resztą twoich wymysłów do porządku dziennego z przebaczenia anielską pogardą.

Słówko do pp. malarzy:

Nie gorączkujcie się, bo sprawa wasza jest na dobrej drodze: z Rady przeszła do komisyi teatralnej, jest więc nadzieja, że ztamtąd dostanie się znowu do Rady, a z chwilą gdy pan Tuch ostatni fresk domaluje, dowiecie się czegoś pewnego. Zresztą pocieszcie się, kto wie, czy nie przyjdzie wam przemalowywać robót pana Tucha. —

Nie wiem co się tego roku stało miłej, sympatycznej pannie Andzi, że po „Lilli Wenedzie“, „Jadwidze“, „Sędzi z Zalamei“, „Horsztyńskim“, uraczyła nas „Roznosicielką chleba“, sztuką, która podobać się mogła jedynie autorom, p. Gliksonowi i galeryi. Panna Kałużyńska odstąpiła pono od zamiaru wystawienia na tegoroczny benefis „Niepoprawnych“ Słowackiego, na życzenie jednego z wysoko w hierarchii teatralnej położonych panów. Jeśli to prawdą, w takim razie do owego pana możnaby zastosować tytuł z ósmej odsłony „Roznosicielki“: „Ten jest zbrodniarzem!“ Obawiamy się, czy za rok nie każą p. Kałużyńskiej wystawić sztuki p. t. „Roznosiciel Kuryera“. —

Pan Szolz, nie mogąc się wybrać na świat lepszym zwany, wybiera się do Egiptu. Czyby pani Hajota chciała towarzyszyć swemu mężowi w podróży pierwszej nie wiadomo, gdyż trudność posyłania ztamtąd „listów“ jest niepokonaną, że jedzie jednak za małżonkiem do państwa młodziutkiego kedywa, jest wbrew wszelkim zaprzeczeniom, faktem wiadomym, z góry też cieszymy się na powieść z życia egipskiego, gdzie obok antagonisty Bismarcka, bohaterami będą: kedyw, Hajota i kilka krokodyli.

Uwagą o potędze rozporządzeń Magistratu kończę dzisiejszą kronikę. Na dzień 9 b. m. Magistrat urzędownie zapowiedział „wiosenny jarmark koński“; do dnia tego trwająca mroźna i śnieżna zima ustąpiła, jak pod tchnieniem wróżki i wiosnę mamy już na dobre. Możeby się świetny Magistrat zajął uregulowaniem zmian atmosferycznych?

IVRAP.

STANISŁAW ROSSOWSKI.

(Profil poety.)

Trudno na podstawie oderwanych odłamków uczuć, ułożonych w pstrą mozaikę, zdjąć wizerunek poety, zmierzyć lot i szelest jego skrzydeł, zwłaszcza, gdy talent jego nie doszedł jeszcze zupełnej dojrzałości, ale owszem, staje dopiero w połowie drogi rozwoju, coraz dalsze i szersze zataczając widnokręgi.—Nie wypada też jeszcze zapuszczać sondy patologa na dno otchłani dzienikarskiej, w której co dnia od lat kilkunastu przechodzi nasz poeta bole porodowe, co dnia ssąc truciznę z piersi wyrodnej macierzy.... Ograniczę się więc do zarysowania — ciężką dłonią recenzenta — profilu poety w świetle własnych jego zwierzeń poetyckich. O ile z puszczonych w obieg kuponów jego twórczości wnosić można, jest górującym rysem jego fizyognomii: silna pobudliwość. W życiu pozbawia go ona siły i hartu woli, w poezyi prowadzi po manowcach sprzeczności i przerzuca go z jednego bieguna na przeciwległy. A pobudzają go do natchnień poetyckich drobiazgi życiowe, jak pył lotne, a jak ziarno piasku nikłe, niemniej i najwyższe zagadnienia ludzkości, zaczerpnięte z samych „źródlisk

---

Pomimo to Maurycy aż krzyknął ze zdziwienia.

— Honory, patrz no!.. Tak coś wygląda, jak ten prusak — wiesz, ten Goliat.

Nazwa ta wstrząsnęła artylerzystą, który aż podskoczył i oczy wytrzeszczył w wskazywanym mu kierunku. Goliat Steinberg, czeladnik rzeźniczy, człowiek, który był przyczyną jego nieporozumienia z ojcem, ten sam, który mu z przed nosa sprzątnął Sylwię!... Sprawca tej podłej i brudnej awantury, z powodu której on, Honory, dotąd jeszcze cierpi!... Ah! onby za nim pobiegł i zdusił go na miejscu!... Ale człowiek ten już za kozłami z broni szedł w dal i niknął w ciemnościach nocy.

— Ah!... Goliat!... — szepnął — to być nie może!... On tam jest z tamtymi!... Niech no ja go kiedy spotkam tak oko w oko!... będzie mu ciepło.

Z gestem groźby wyciągnął rękę ku ciemnościom, ku temu całemu wschodowi, w tej chwili fioletem ciemnym okrytemu, który dla niego Prusy przedstawiał.[1] Zrobiła się cisza, słychać było capstrzyk, ale już teraz znowu bardzo daleko, ginący w drugim końcu obozu, stopniowo zamierający wśród chaosu wszystkich rzeczy, zaledwie już widzialnych.

— Do stu dyabłów — zawołał Honory — dostanie mi się, jeśli nie zdążę na apel.... Dobranoc!... żegnam was wszystkich!... Muszę lecieć!...

I uścisnąwszy ostatni raz obie ręce Weissa, wielkiemi krokami sunął ku wzgórkowi, na którym stała rezerwa artyleryi. Odchodząc, nie rzekł ani słowa o ojcu swoim, ani nie kazał nic powiedzieć Sylwii, której imię usta mu paliło.

Jeszcze kilka minut upłynęło i na lewym skraju od strony drugiej brygady odezwała się trąbka do apelu. Bliżej druga odpowiedziała jej, potem znowu trzecia gdzieś bardzo daleko. I tak dalej i dalej, jedna po drugiej, coraz bliżej i bliżej wszystkie już trąbiły, gdy nareszcie Gaude, trębacz ich kompanii, zdecydował się i wybuchnął całą kaskadą tonów donośnych. Był to wysoki chłopiec, chudy i jakby schorowany, bez jednego włosa na brodzie, zawsze nic nie mówiący, który sygnały swoje wytrębywał zawsze z gwałtownością burzy nagle się zrywającej.

Wówczas sierżant Sapin, mały człowieczek, napuszony, o dużych oczach niezdecydowanego wyrazu, rozpoczął apel. Słaby jego głosik rzucał w przestrzeń nazwiska, żołnierze zaś, którzy się zbliżyli, odpowiadali na najrozmaitsze tony, poczynając od wiolonczeli, aż do fletu. Szło to szybko i równo, wtem jakaś przerwa się zdarzyła.

— Lapoulle!—powtórzył głośno sierżant.

I tym razem nikt jeszcze nie odpowiedział i trzeba było, żeby Jan pobiegł do kupy drzewa zielonego, którą biedny Lapoulle, przez kolegów podjudzany, gwałtem chciał zapalić. Teraz, leżąc na brzuchu, z twarzą opaloną, wydmuchiwał z pomiędzy gałęzi od spodu dym, od którego się drzewo czerniło.

— Cóż u miliona dyabłów!... Ciśnijże to wszystko!... Odpowiadaj na apel! — krzyknął Jan.

Lapoulle ogłupiony, podniósł się, ledwie zrozumiał o co chodziło i wykrzyknął: „jest!“ głosem tak dzikim, że Loubet aż się na wznak przewrócił, tak mu się to zabawnem wydało. Pache, który skończył swoje łatanie, odpowiedział głosem zaledwie dosłyszalnym, bardzo prędko, żeby sobie nie przerwać pacierza. Chouteau zaś zawołał wzgardliwie „jest!“, nie podnosząc się wcale i wyciągnął się jeszcze lepiej.

Tymczasem porucznik służbowy, Rochas, stał nieruchomy o kilka kroków i czekał. Gdy po skończeniu apelu sierżant Sapin zdał raport, że nikogo nie brakuje, mruknął gniewnie pod nosem, brodą wskazując na Weissa, który ciągle jeszcze rozmawiał z Maurycym,

bytu.“ — Fantazya jego lubuje się w kolorach jaśniejszych, ale nie gardzi ciemnemi, pije zarówno z puharu rozkoszy jak boleści. Porównaćby ją można do człowieka o chorobliwym apetycie, nie przebierającym w pokarmach. Oblatując ugór tego padołu, przyjmuje każdą podnietę, byle zawierała w sobie, bodaj drobny jakiś moment estetyczny, łechcący podniebienie. Silniej jednak porywa go błyszczące barwy tęczowemi widmo piękna, aniżeli niepozorne nasienie prawdy.... Łatwo zapalny unosi się przy lada sposobności, goniąc za obrazami o gorącym kolorycie i migotliwym blasku, które odtwarza po mistrzowsku. Pierworodne dziecię jego muzy, puszczone w świat przed laty sześciu, nie rokowało tych nadziei, nie zapowiadało tego właśnie zwrotu, jaki w rozwoju poety zaszedł. — Na pierwszą tę wiązankę składały się przeważnie pieśni z ogranej dudy Hejnowskiej. Rossowski bowiem podobnie, jak wszyscy nasi epigoni romantyzmu z Asnykiem na czele, wzorowali się i wprawiali w swem rzemiośle na utworach największego liryka niemieckiego. W spuściźnie tej Rossowskiego z epoki „Szczutka“ i „Tygodnika polskiego“, błyśnie ledwie tu i owdzie myśl oryginalniejsza; fantazya poety unosiła się w zaklętem kole szeptów miłosnych, skrapianych gęsto wonią róż i jaśminu, w melodyi jego dźwięczała ciągle nuta egotyczna.— Dopiero pod koniec zbiorku pomieścił autor kilka utworów zapowiadających poniekąd, że zerwie z ową jałową liryką, co mu trzeba było zawierzyć na słowo. — Nawet jeszcze wiersze z czasów minionych („Tempi Passati)“ kwitną pleśnią romantyzmu. — Najzwyklejsza próba chemiczna wykazałaby tu dużo zachwytów podejrzanej wartości. Wywodzą tu jeszcze chóry anielskie „pienia zadumane rozkosznie,“ a poeta pragnie pod sztyletami spojrzeń — spłonąć w niemej miłości jak lampa, co gaśnie w nocy.... Igraszki, bawidełka, podrzucanie piłką pustych pytań, jak owe „Czterech człopców, a trzy róże, jak je tu rozdzielę?“ albo przekomarzanie i gonienie za koteczkami, fruwającemi dokoła stołu jak motylki w „Sprzeczce,“ to niby zielonawy proszek tej pleśni romantycznej, na którą składają się echa pieśni Mickiewiczowskich („Topielica“) i łamane sztuki jak puch lekkiej a wiotkiej ironii Hejnowskiej.

Dopiero w drugiej seryi słońce poezyi rozpala żywsze rumieńce na twarzy poety i sieje jakby przez sito złote światło prawdy. Kwiaty omamienia, które tylko łechtały nasze nerwy, wchłaniające chorobliwie dźwięki i blaski i wonie, zwarzył szron jesieni, a na pulchnym, zroszonym łzą i cierpieniem gruncie niedoli ludzkiej, zeszło ziarno myśli społecznej.... Zwolna dżdżu krople przesiąkały warstwy skalne zanim gdzieś w głębinie zebrały się wody, z których wytrysło źródło tej poezyi społecznej — Zalatują jeszcze i tutaj echa minionej przeszłości w formie wspomnień balowych lub „słodkich tęsknoty omdleń“, ale coraz mocniej występuje czarne tło społeczne z żądaniem równouprawnienia. Ciężka, powszednia atmosfera pracy i upodlenia, twardy głaz stosunków ekonomicznych, to materyał, z którego dłuto poety rzeźbi teraz „majestat człowieka“. Wydrze on naturze zaklęte skarby, zapuści się w otchłań bytów drzemiącą i na szczytach wiedzy zawiesi tron swej poezyi....

Lecz na tych niebotycznych wyżynach dostaje się zawrotu głowy. (Przypominam tylko wiersze, uświęcające walkę o byt i kroczenie geniuszów po karkach tłumu). — Często uważny czytelnik doznaje takiego wrażenia, jak gdyby łańcuch, na którym poeta spuszcza swe wiadro do ożywczej krynicy prawdy, było jeszcze za krótkie. Pogląd Rossowskiego rozszerzył się znacznie, rozjaśniło się na widokręgu jego myśli, lecz pegaz jego niema jeszcze dość sił, by dotrzymać kroku w pośpiesznym pochodzie wiedzy, mimo szczere chęci zrównania się z postępem. W każdym razie podstawę jego światopoglądu stanowi już materyalizm, sam wyraźnie zarzeka się swych dawnych idealnych zapatrywań jak człowiek, który przejadłszy się jakąś potrawą, nie może patrzeć się na nią bez wstrętu. W gruncie atoli odzywa się koralowemi ustami dawny, niepoprawny romantyk, tylko forma jego przemówienia nabiera kształtów konkretniejszych, tylko metoda przystosowywa się do wymogów nowoczesnych. Najsilniej nęcą go obrazki rodzajowe z podkładem erotyki i ta erotyczna struna wygrywa czasem szalone galopady na krwawą nutę społeczną. Liryka opisowa zdaje się być najwłaściwszym dla jego talentu polem; tam, gdzie próbuje uchwycić w lot donioślejsze zagadnienia rycin, siły go czasem opuszczają, jakby usuwał się w cień z pod ciepłych promieni uczucia, w których blasku wybitne jego zdolności jarzą się słonecznie. Zrywał się i on w swoim czasie do lotu i jemu młodość zakreślała szerokie drogi wielkich przewrotowych idei, — dość będzie przeczytać jego wiersze z „Przeglądu tygodniowego — ale złamały go, zgruchotały twarde koliska warunków ekonomicznych.

Spadając po pochyłej płaszczyźnie przystosowania, zatrzymał się z konieczności na progu tego życia, które ostrzem codziennych szpilek kłuje nam wnętrzności. A tak zręcznie umie zarzucić na nasze pasmo dni powszednich swą siateczkę analizy mikroskopijnej, rozsnuwającej misternie najcieńsze włókienka serca ludzkiego, że dość nacisnąć na powłokę, aby z niej wytrysnęła rosa poezyi.

Lwów, dnia 13 marca 1892.

Dr. Henryk Biegeleisen.

LISTKI ARTYSTYCZNO-LITERACKIE.

(Kor. „Myśli“).

Wiedeń, 25 lutego.

Upadek sztuki w Wiedniu. — Kilka słów o teatrze. — Zwrot ku lepszemu. — Dramata Gerharda Hauptmana: „College Crampton.“ — Richard Voss: „Neue Zeit.“

(Dokończenie).

Najnowszy, w Wiedniu wystawiony dramat Gerharda Hauptmanna: „College Cram-

---

— Jest nawet jeden za wiele!... Co on tu robi ten jegomość?...

— Z pozwolenia pułkownika, panie poruczniku!... — uważał za stosowne objaśnić Jan, który to usłyszał.

Rochas wzruszył gniewnie ramionami i, nie rzekłszy ani słowa więcej, chodzić zaczął wzdłuż linii namiotów, czekając na sygnał do gaszenia ogni. Jan zaś, nóg nie czując już ze znużenia po marszu całodziennym, usiadł o kilka kroków od Maurycego, którego wyrazy dochodziły do jego uszu niewyraźnie, chociaż ich nie słuchał, sam zatopiony w smutnych rozmyślaniach, których sformułować nie śmiał w swej grubej i powolnie myślącej mózgownicy.

Maurycy był za wojną. uważał ją za nieuniknioną, konieczną nawet dla egzystencyi narodów. W umyśle jego to przekonanie utworzyło się od chwili, gdy się oddawał pojęciom ewolucyjnym—całej tej teoryi ewolucyi, która w owe czasy roznamiętniała młodzież wykształconą. Czyż życie samo nie jest ciągłą wojną w każdej swej sekundzie?.. Czyż jedną z dróg natury samej nie jest walka bezustanna, zwycięztwo godniejszego, siła utrzymywana i odnawiana przez czyny i działanie, życie ciągle młode, odradzające się ze śmierci? I przypomniał sobie ten wielki poryw, który go popchnął w chwili, gdy mu przyszła myśl, aby, dla odkupienia błędów swej młodości, został żołnierzem i poszedł się bić nad granicą. Czy może Francya, składając do urny głosy plebiscytowe i oddając się cała w ręce cesarza, nie chciała wojny!?... On sam jeszcze tydzień temu za głupią i potępienia godną ją poczytywał. Dyskutowano nad kandydaturą księcia niemieckiego na tron hiszpański, w zamieszaniu pojęć, jakie się ztąd powoli wyrodziły, zdawało się, że nikt nie ma racyi, tak, że już w końcu nie wiedziano zkąd mianowicie powstała prowokacya i jedynie w sile pozostało to prawo niewzruszone, fatalne, które w naznaczonej chwili rzuciło jeden naród przeciw drugiemu, Ale stolicą Francyi wstrząsnął wielki dreszcz. On pamięta ten wieczór gorący, w którym bulwary paryskie, jak wielka rzeka płynęły tłumami ludu. które z pochodniami w rękach szły i szły bez końca, krzycząc i wrzeszcząc: „do Berlina!... do Berlina!...“ Na placu ratuszowym słyszał i zdaje mu się, że słyszy jeszcze jakąś piękną, wysoką kobietę o profilu królowej, owiniętą w fałdy chorągwi, stojącą na koźle dorożki i śpiewającą Marsyliankę!... Czyż to wszystko jest kłamstwem?... Czy serce Paryża nie biło gwałtowniej w owej chwili?... I potem zaraz, jak zwykle u niego, po tej nerwowej egzaltacyi nastąpiły godziny gorzkiego zwątpienia i wstrętu strasznego. Przypomniał sobie przybycie swoje do koszar; oficera, który go przyjął, sierżanta, który kazał go ubrać, izbę śmierdzącą i brudną aż do obrzydliwości, koleżeństwo brutalne z nowemi towarzyszami, ćwiczenia mechaniczne, które mu członki nużyły i mózg ogłupiały. Przecież po tygodniu przyzwyczaił się do tego i wstręty jego zniknęły i znów zapał wziął górę, gdy pułk wyruszył do Belfortu.

Od pierwszych dni Maurycy miał zupełną pewność zwycięztwa. Dla niego plan cesarza był jasny i wyraźny: rzucić cztery kroć stotysięcy wojsk nad Ren, przebyć rzekę; zanim prusacy będą gotowi do walki, odciąć Niemcy północne od Niemiec południowych śmiało wysuniętą naprzód zaporą i odniósłszy kilka zwycięztw doniosłych, zmusić niemi Austryę i Włochy, aby stanęły po stronie Francyi!... Chodziły nawet wieści, że 7-my korpus, do którego należał pułk 106, miał wsiąść na okręty w Breście, zostać wysadzony na ląd w Danii i, pokazawszy się w samym środku Niemiec, zmusić prusaków do unieruchomienia jednej ze swoich armij! Przecież Prusy zostaną oszołomione. uciśnięte ze wszystkich stron, zgniecione w przeciągu

pton“ raz jeszcze uwydatnił wszystkie zalety i wady poety. Harry Cramptone, artysta, profesor akademii sztuk pięknych w jakiemś mieście prowincyonalnem jest nowem wydaniem bohatera z „Samotników“. Człowiek to genialny, o wielkich ideałach, który zatraca talent i twórczość swą wśród otoczenia. Zrażają go wszyscy: zawistni koledzy, własna żona, pysznią ca się swem arystokratycznem pochodzeniem, dzieci nawet. Dobija go obowiązek nauczania, który go nie zadawala, który go krępuje w twórczości. Szuka tedy pociechy i zapomnienia w alkoholu. Dochodzi do tego, że Cramptona pozbawili prawa nauczania, że włóczy się on po szynkowniach, a zbiory jego sztuki licytują. Śród ogólnego rozbicia ideałów i pragnień tli w człowieku tym, — który nawet we własnej rodzinie znaleźć nie mógł oparcia — jedno jeszcze uczucie święte: miłość do córki, Gertrudy. Ona jedynie odczuwa talent ojca i jego walkę, a ten w chwilach swego upadku z drżeniem ukrywa przed dzieckiem nałóg pijacki. Poeta mógłby był na tle starego tematu osnuć wielką tragedyę zmarnowanego talentu, nie uczynił jednak tego, nadając inny zwrot swemu dramatowi. Crampton ma ucznia Strahlera, który kocha się w córce swego mistrza, Gertrudzie tak, jak tylko kochać można w dwudziestym roku życia. Miłości tej sprzyja opatrzność, która postarała się o życzliwe i zamożne rodzeństwo dla rozmarzonego kochanka. Z ich pomocą urządza on sobie domostwo, skupuje licytowane zbiory Cramptona i sprowadza go do siebie. Crampton opuszcza swoje dotychczasowe otoczenie: żonę, dzieci, akademików i wyrzeka się kieliszka, Poeta z wielkim artyzmem przeprowadził analizę psychiczną Cramptona, jego przemianę duchową i przygotowanie do dźwignięcia się z upadku. Ale akcyi, starcia się charakterów prawdziwego scenicznego życia mniej jeszcze w tym dramacie, niż w poprzednich.

— Drugim dramatem, który żywo zainteresował ogół i krytykę jest: „*Neue Zeit*“ Vossa. Tragedyę tę uznano za najlepszy utwór autora. Voss karyerę literacką rozpoczął od pesymistycznych powieści a kończyć ją chyba zamyśla płaczliwemi dramatami. „*Neue Zeit*“ jest sztuką bardzo zgrabnie ułożoną, wiele ma efektów na scenę obliczonych, ma nawet kilka scen pięknych, ale wartości większej nie posiada i, jak wszystkie dramaty Vossa po dwóch, lub trzech latach zniknąć musi z repertoaru. Autor chciał w dramacie przedstawić starcie się: wiary i racyonalizmu, pokolenia starszego i młodszego. Pomysł wielki ale nad siły Vossa. Pastor Firle jest tyranem dogmatu, dręczy on nim siebie, żonę, swoich parafian; syn jego zaś: Jan jest hardym niewolnikiem idei postępu, choć, posłuszny ojcu, obrał zawód duchowny. Żona pastora a matka Jana jest kobietą, pełną poświęcenia i dobroci i napróżno usiłuje pośredniczyć między ojcem a synem. Jan w kazaniu swojem, którem lud nierozumiejący go zachwyca się instynktownie, głosi poglądy tak wstrętne ojcu, że ten wyrzeka się syna. Ale obaj są równie zacięci i niesprawiedliwi. Pastor Firle odmówił był chrześciańskiego pogrzebu biednej samobójczyni, która w najwyższej rozpaczy, uwiedziona przez nikczemnego kochanka, utopiła się w morzu, a o jej córce Elce, którą Jan kocha, wyraża się bezlitośnie, że za grzechy rodziców odpokutować muszą dzieci. Jan natomiast w rozmowie z Elką powołuje się na swoją ewanielią nauk przyrodniczych i z tezy dziedziczności wysnuwa, że córka musi być tém, czem matka była (a więc Elka lekkomyślną dziewczyną, samobójczynią). Elka, najlepiej skreślony przez poetę charakter, żądna uciech i swobody, daje się po tych dwukrotnych wyrokach uwieść jakiemuś paniczowi. Walka między synem a ojcem toczy się tém zawzięciej, że lud bierze — w kilku znakomitych scenach — stronę syna. Pastor żąda tedy od żony, aby wybrała między nim a synem. Nie chcąc opuścić męża, a nie mogąc opuścić syna, z którym czuje się spowinowaconą i krwią i duchem, biedna ofiara despotyzmu mężowskiego — truje się. Zakończenie to mało jest umotywowane i wywołuje niesmak a już wcale konwencyonalnem jest pogodzenie się ojca i syna nad konającą, której ostatnie słowa brzmią: „Miłość jest zakonem!“

Dramat robi duże wrażenie, ale w obec ścisłej krytyki ostać się nie może, mimo prawdziwie pięknych scen.

Voss jest zawsze nowelistą, który rozumie się na robocie scenicznej, ale nie potrafi tworzyć dramatów w szerszym stylu, w którychby osoby nie występowały ślepym trafem, lecz z założenia i logicznej konsekwencyi. Dr. H. M.

ECHA NADPEŁTWIAŃSKIE.

(Dokończenie).

Dział haftów przedstawia się bardzo bogato i dowodzi niesłychanej cierpliwości pracowników oraz bardzo subtelnego poczucia barw i harmonii. Niezmiernie oryginalne wrażenie robią małe obrazki, strzyżone w aksamicie; ma to być wyrób obecnie bardzo w Japonii modny a stanowiący coś pośredniego między wyrobem tkackim a malarstwem. To ostatnie, o ile można wnosić ze zbiorów na wystawie nagromadzonych, zaledwo że istnieje i nawet pretensyi do prawdziwej sztuki rościć nie może. Widzimy tu kilka staro-chińskich obrazów, a raczej bohomazów religijnych. Kilka akwarel współczesnego malarza japońskiego Skassona. Ciasne ramy pobieżnego sprawozdania nie pozwalają na wyliczenie mnóstwa ciekawych i oryginalnych przedmiotów, nagromadzonych w salonach wystawy; są tam ogromne zbiory obówia, przypominającego narzędzia tortury, kapeluszy równie fantazyjnych jak nieestetycznych, różnych cacek z czarnego lub czerwonego laku, a wreszcie kolekcya pięknych, lekkich i bardzo praktycznych w noszeniu tkanin bawełnianych, produkowanych ręcznie przez mieszkańców wysp Zin-Kin, słynnych ze swej pracowitości i zręczności.

Spędziwszy dzień na wystawie, trzeba zajrzeć wieczorem do teatru; króluje w nim obecnie opera, bo to jej sezon.

Z dziedziny Melpomeny, najważniejszym wypadkiem dnia a raczej — zeszłego tygodnia było wystawienie Szyllerowskiego dramatu: „Sprzysiężenie Fiesca w Genui“.

Utwór ten scenizacyą swą nieco przestarzały ale zawsze prześliczny czarem prawdziwej poezyi i stanowiący apoteozę prawdziwie republikańskich idei, wystawionym był z godną pochwały starannością tak pod względem ekspozycyi jak i rozdziału ról, z których każda aż do najdrobniejszej była w dobre ręce powierzona i z wielką starannością wykonana. W teatrach, nie mogących się zdobyć na wspaniałe dekoracye i ensamble na Meiningeńczykach wzorowany, uważamy za daleko odpowiedniejsze wystawienie Fiesca niż n. p. Tella, opierającego się głównie na scenach zbiorowych: stwierdził to niedawno teatr krakowski, wystawiający Tella tak niefortunnie. Fiesco miał wybornego interpretatora w p. Wolańskim, którego talent najlepiej odpowiada rolom kostyumowym i poetycznym porywom. Pan Zboinski jest zawsze filarem lwowskiej sceny, to też i tu jego Verino był wzorem patrycyuszowskiej dumy i szlachetnego majestatu. Trudną a tak charakterystyczną rolę przebiegłego murzyna Hassana, odegrał młody artysta p. Chmieliński, którego piękna, poprawna dykcya, wyborna gra fizyonomii, humor, werwa i elastyczność ruchów zwracają nań od pierwszej chwili uwagę. Jago Hassan jest typem skończonym, odczutym i pomyślanym znakomicie.

Produktem również czasów ostatnich jest wesoła komedya Pawła Lindaua, „Dwie Eleonory“, którą grano z powodzeniem już razy kilka. Ostatni ten utwór berlińskiego pisarza ma tę właściwość, że podczas gdy dwa pierwsze akty mają w sobie dowcip i elegancyę, przypominającą francuskie utwory i rozwijają się zajmująco i prawidłowo, dwa drugie nużą brakiem treści i przepełnione są niemieckim sentymentalizmem i kaznodziejsko-moralizatorskim tonem. Niemniej warto było tę sztukę wystawić, choćby tylko dla owych dwóch aktów, a przytem dla sprawienia widzom takiej artystycznej uczty, jaką stanowi gra pp. Kwiecińskich, mających tam popisowe role. Śmiało można powiedzieć, że takiego amanta i takiej uroczej naiwnej niema obecnie żadna polska scena.

To też z najżywszym żalem myśleć przychodzi, że wkrótce zabraknie teatrowi lwowskiemu tej artystycznej pary, p. Kwieciński bowiem zamierza na własną rękę zebrać trupę dramatyczną i rozpocząć przedstawienia w Stanisławowie. Miasto wystawiło tam świeżo teatr, którego budowa kosztowała 60 tysięcy fl. i zawarło już układ z p. Kwie-

---

kilku tygodni!... Prosty spacer wojskowy ze Strasburga do Berlina!...

Ale od chwili wyczekiwania w Belforcie nowe go ogarnęły niepokoje. I-szy korpus, który miał obserwować wyjście z Czarnego Lasu, przyszedł na stanowisko w niedającym się opisać nieładzie, niekompletny co do liczby ludzi i niezaopatrzony w nic, czego wojsku potrzeba.

Oczekiwano na trzecią dywizyę, która miała przybyć z Włoch; druga brygada kawaleryi została w Lyonie, w obawie rozruchów ludowych, a trzy bateryе zapodziały się nie wiadomo gdzie. Przytem brak był zupełny wszystkiego; magazyny intendentury w Belforcie, które wszystkiego dostarczyć miały, były puste, ani namiotów, ani kociołków, ani pasów flanelowych, ani środków opatrunkowych i leczniczych, ani kuźni, ani pęt na konie. Ani jednego infirmiera, ani jednego robotnika administracyjnego! W ostatniej chwili spostrzeżono się, że trzydzieści tysięcy karabinów nie posiada części na zmianę, koniecznie przy ciągłem użyciu potrzebnych. Potrzeba było posłać jednego z oficerów do Paryża, który przywiózł ich zaledwie pięć tysięcy i te wydarł prawie gwałtem.

(D. c. n.)

cińskim obiecując mu 800 fl. subwencyi rocznej, za co tenże zobowiązał się dawać miastu przedstawienia przez przeciąg 5 miesięcy w roku.

Będzie to zatem pierwszy stały teatr prowincyonalny w Galicyi, któremu życzyć należy powodzenia, choć rokować je trudno, ze względu na uciążliwe prowincyonalne stosunki.

Nie możemy także pominąć milczeniem wystawy sztuk pięknych, która pomimo swego nad wszelki wyraz nędznego pomieszczenia, mogącego krakowskiej wystawie służyć ledwo za przedpokój, zawiera jednak obecnie kilka płócien wartościowych, o których wspomnieć przynajmniej warto.

Do takich należy przedewszystkiem wielki obraz biblijno-historyczny p. Styki, przedstawiający: „Oldę, prorokinię izraelską“. Kompozycya to w wielkim stylu, nosząca ślady ręki wytrawnego mistrza. Najlepiej uchwycone są postacie słuchających starców, pełne dobrze uchwyconego wyrazu i przerażenia. Pięknym jest również portret p. Zacharjewicza, pędzla tegoż artysty. Kilka obrazów o tematach wiejskich dali nam panowie Stasiak i Tetmajer; utwór tego ostatniego zwłaszcza p. t. „Przy obiedzie“, tchnie życiem i prawdą. O p. Stachiewicza „Trębaczu na wieży Maryackiej“, radzibyśmy coś wspomnieć, ale cóż, kiedy obraz cały trzymany jest w tonie tak czarnym, że wśród tego sosu, trębacza dojrzeć niepodobna. O obrazach niedawno zmarłego malarza Leopolskiego, z których tutejszy salon artystyczny oddzielną urządza wystawę, pomówimy w następnej korespondencyi.

Z dziedziny rzeźby mamy obecnie sposobność oglądać bardzo piękną grupę, przeznaczoną na pomnik dla patryoty rusińskiego: Barwińskiego. Jest to dzieło młodego rzeźbiarza p. Lewandowskiego. Grupa symboliczna, odlana w bronzowanym gipsie, przedstawia młodą ukrainkę z krzyżem unickim (nie prawosławnym) w jednem, a pochodnią w drugiem ręku. Ruch kobiety gwałtowny, namiętny niemal, uzmysławia bardzo trafnie, to tak szybko, niespodzianie i gorączkowo budzące się życie duchowe i samowiedzę u rusińskiego społeczeństwa. Prześliczną również jest postać pacholęcia, które klęczy u stóp kobiety i gałązkę laurową na ziemi ukraińskiej składa.

Ten sam artysta wykończył też w tych dniach przepyszny płyt płaskorzeźbiony, który zdobi jednę ze ścian sali obrad tutejszego wspaniałego gmachu Kasy oszczędności. Rzeźba przedstawia różne allegoryczne grupy, złożone z dzieci, których postacie z gipsu malowanego na kolor kości słoniowej, rzucone są na tło złote, co dziwnie oryginalne i malownicze robi wrażenie.

Już to w ogóle, prawdziwą ozdobą Lwowa — stał się nowowybudowany gmach Kasy oszczędności: przepych i wytrawny gust artystyczny zdają się tu walczyć o lepsze.

Lwów, 10 marca.

PSEUDONIM.

PIĘĆ WIECZORÓW.

STUDYUM Z NATURY

CEZAREGO JELLENTY.

(Ciąg dalszy.)

A n i e l a, odrzuciwszy głowę na poręcz krzesła, patrzy w sufit i nuci półgłosem:

O to jedno błagam cię
Nie nudź mię...

Wacław, Paweł i Ola wybuchają śmiechem. Ola nie zmieniając pozycyi, wtóruje im z wyrazem tryumfu w oczach...

O l a. Żart, żartem, ale mogłabyś Anielciu coś zaśpiewać, p. Paweł będzie ci akompaniować.

A n i e l a. O co to, to nie, śpiewałam dziś już, zagraj ty lepiej, p. Paweł nie słyszał jeszcze R y c e r s k o ś c i w i e ś n i a c z e j, ach mówię ci, Pawełku, cudowna rzecz, mamy całą partyturę.

P a w e ł. Wyborny pomysł, a więc nie traćmy czasu (podnosi się). Dziękuję państwu (całuje w rękę Olę i Anielę a z Wacławem zamienia serdeczny uścisk dłoni).

Wszyscy przechodzą do salonu. Aniela stawia na fortepianie dwa świeczniki płonące. Panowie przechadzają się wzdłuż pokoju i wiodą ożywioną rozmowę. Niebawem Ola siada do fortepianu, a Wacław zbliża się do niej z widocznym zamiarem przewracania kart w nutach.

Pan Paweł stoi kilka chwil przed jednym z obrazów, wiszących na ścianie, a potem nieznacznie zbliża się do kanapki, na której, wtulona wygodnie w kąt, siedzi już Aniela.

Cisza... przerywa ją tylko szept obojga narzeczonych. Trzymają oni przed sobą na stole wielką złoconą księgę ze sztychami i pochyleni nad nią, nie widzą, że Wacław przechodzi na palcach ku drugiej stronie fortepianu, cofa się wraz z taburetem nieco w głąb, ku oknu, i w półcieniu od czasu do czasu niby przypadkiem, spogląda w stronę kanapy.

Umilkły szepty. Wziąwszy parę akordów i pasażów, Ola pewną ręką zaczęła grać...

. . . .

A n i e l a (do Pawła półgłosem). Nieprawda, że ślicznie; na mnie ta muzyka sprawia swą lekkością i ekspresyą naturalną takie wrażenie, jak gdyby były zwyczajną rozmową ludzi, dla których nie ma stylu i gramatyki, lecz istnieją tylko melodyjne frazesy, a zamiast liter — harmonijne akordy...

P. P a w e ł, wpatrzony miłośnie, bierze dłoń Anieli w obie ręce i długo trzyma w nich a potem do ust podnosi. Aniela rozmarza się stopniowo i z błogim uśmiechem słucha jego cichych wyznań; niekiedy spogląda na jego pałającą twarz przebiegle i wyzywająco; to znów grozi mu palcem i przywołuje do porządku, ilekroć na szyi swej uczuje jego gorący, ukradkowy całus...

P. P a w e ł (dobitnym ruchem warg). Czy mi nie wolno?

A n i e l a (dając głową znak przeczenia). O nie... (dobitnym ruchem warg). Od jutra za tydzień...

P. P a w e ł (nieznacznie przechylając się). Ach, ta nikczemna lampa, jak się ona jasno pali!...

A n i e l a (przeciągle). To zgaś ją (śmieje się).

P. P a w e ł udaje, że chce przytłumić płomień.

A n i e l a (z wyrazem przerażenia patrzy w stronę fortepianu i spostrzega badawczy, szyderski wzrok Wacława). Bo ucieknę (chce wstać z kanapy).

P. P a w e ł (szybko cofnąwszy rękę, robi błagalną minę). O już nie będę, nie będę.

. . . .

Ola gra z rosnącym zapałem. Fortissima wychodzą z wielką siłą, melodya płynie czysto i wyraźnie. Wacław, oparłszy łokieć prawej ręki na kolanie, w dłoni twarz ukrył i siedzi nieruchomie do samego końca gry...

. . . .

P. Paweł stoi przy fortepianie i z ostatniej karty nut wygrywa parę taktów jedną ręką, twardo uderzając w klawisze i raz po raz poprawiając się. Ola, przyklęknąwszy, szuka innej sztuki na półce. Aniela siedzi w dalszym ciągu na kanapie i bawi się bukiecikiem bladych róż i tuberoz. Wacław w postawie niedbałej stoi nieopodal p. Pawła i bezmyślnie z widocznem w oczach zmęczeniem, śledzi jego brzdąkanie.

O l a (kładzie na pulpicie inny utwór). Teraz zagram wam coś wielce uroczystego, ażebyście dziś już mieli przedsmak kościelnych organów. Anielciu — na wasz benefis!

A n i e l a. Słuchamy, słuchamy!

Wacław ożywia się trochę i w miarę rozwijania się tematu marsza tryumfalnego nieśmiało a potem pełniejszym głosem barytonowym wtoruje u n i s o n o, Oli chwilami przerywając śpiew, gdy się arya gmatwa lub wznosi do tonów wysokich. Głos jego potężnieje coraz bardziej. Zapał i uniesienie dla ulubionego motywu przybierają cechę swobody, która sobie nic z otoczenia nie robi.

O l a (wykonywa finał z wielką brawurą i wstaje od fortepianu). No, na dziś chyba dosyć; niech teraz kto zastąpi mię, albo najlepiej będzie, jeśli który z panów przeczyta nam coś na głos. Zacny mój szwagier niech mi się teraz wywdzięczy za taką ucztę artystyczną — bo Wacek to nieużytek. Eh! ten mruk toby wiecznie tylko zadymiał pokój cygarem, albo kłócił się z ludźmi. Nabębniłeś mi głowę swoim śpiewem, więc mógłbyś teraz co przeczytać.

Wacław strzepuje popiół z cygara i zachowuje niezamącony spokój, jak gdyby wszelką odpowiedź uważał za zbyteczną wobec danej raz na zawsze odmowy.

A n i e l a. O, jak cię słucha ten istny ideał męża. Wacek nie od dziś jest szczytem rycerskości i uprzejmości dla dam...

Wacław śmieje się pod wąsem, nie wyjmując cygara z ust.

P. P a w e ł (spoglądając na zegarek). Radbym bardzo odpłacić gosposiom pięknem za nadobne, ale to już najwyższy czas na mnie... Godzina blisko pierwsza.

A n i e l a. Już pierwsza?!

O l a. Pierwsza? Być nie może.

P. P a w e ł. A tak, tak. Zatem odłożymy czytanie na kiedyindziej, jeśli panie pozwolą.

A n i e l a. Jutro zobaczymy się?

P. P a w e ł. Bardzo wątpię. Mam jeszcze dużo korowodów z tapicerem... a zresztą może mi się uda wpaść na pół godziny. Dobranoc zatem i do widzenia. (Żegna się).

. . . .

W przedpokoju Wacław stoi we drzwiach swego gabinetu. P. Paweł z Anielą rozmawiają szeptem opodal a z jadalni dochodzi głos Oli, wydający dyspozycye gospodarskie. Wacław dyskretnie schodzi z pola i zatrzymuje się przed biurkiem swem.

P. P a w e ł. Ach, jak jabym tu został z tobą, bodaj do samego rana, a ten przeklęty konwenans staje mi na drodze. A moja Anielcia coby na to powiedziała (nachyla się i badawczo z uśmiechem swawoli patrzy jej w oczy).

A n i e l a (ogląda się po za siebie i podaje rękę). No, proszę, nie bałamuć dłużej, godzina duchów wybiła, a ty wcale nie zdradzasz szczególnej duchowości. (D. c. n.)

W KWESTYI PIEKĄCEJ.

(Fundusz zapomogowy dla wdów i sierot po literatach i artystach.)

Paryż, Wiedeń, Peszt i inne stolice świata pomyślały już dawno o losie swych pracowników na polu literatury i sztuki. Istnieją tam stowarzyszenia, rozporządzające nieraz i krociowemi funduszami, do których mogą się udać w razie potrzeby ci, co pracę swą i talent nie wahali się oddać na usługi inteligentnego ogółu. Inaczej dzieje się u nas niestety. Literat i artysta — to istoty, mogące zaledwo w wyjątkowych wypadkach pomyśleć spokojnie o jutrze. A cóż dopiero mówić o tych, co mając rodzinę, nietylko, że nie mogą na dostatnie jej utrzymanie z największym wysiłkiem zapracować, ale, co gorsza, nie mają najmniejszej gwarancyi, czy, w razie nieszczęścia, wdowy i sieroty po nich, nie będą skazane niemal na śmierć głodową lub upokarzającą jałmużnę.

Horoskop podobnej przyszłości odstrasza też niejednokrotnie ludzi istotnie powołanych do karyery artystycznej czy publicystycznej. Stąd i poziom ogólny naszej produkcyi na tem polu nie idzie w parze ze wzrastającemi wymogami. A i świadomość tych potrzeb jakżeż mało jest jeszcze wyrobioną!

W Czechach n. p. wychodzą dzienniki, co jak „Narodni politika“ liczą około 30 tysięcy prenumeratorów. A u nas — w Galicyi zwłaszcza — czyż jest dziennik, coby się istotnie opłacał?

Przy takim porządku rzeczy, muszą koniecznie redakcye jak najgorzej wynagradzać swych współpracowników, a i ta garstka czytającej publiczności nie pomyślała dotychczas nigdy nad losem tych którzy jej codziennej strawy dostarczają. Inicyatywę w tej doniosłej sprawie podjęło wprawdzie przed kilku laty lwowskie „Koło literacko-artystyczne“ — rezultat jednak usiłowań stowarzyszenia nie odpowiada dotychczas zupełnie potrzebom. Fundusz, który Koło w przeciągu lat kilku uzbierało, wynosi zaledwie 1760 złr., podczas kiedy n. p. wiedeńska Concordia rozporządza już półtora milionowym majątkiem, urosłym ze skromnej kwoty 100 złr. stanowiącej fundusz zakładowy w r. 1872. Zestawienie tych cyfr przemawia już samo przez się i uwalnia nas najzupełniej od dalszego argumentowania, mimo wszelkiej różnicy jaka zachodzi między bogactwem Austryi, a naszem ubóstwem.

Na jednostkach zamożnych i pełnych dobrej woli nie zbywa jednak i u nas, jak świadczą o tem tak liczne fundacye filantropijne, brak nam tylko inicyatywy i umiejętności pokierowania ofiarnością publiczną. Dlatego też zdaje się, że będzie bardzo na czasie poruszyć tę sprawę wobec szerszego ogółu, zwłaszcza, że okazyę po temu nastręcza nam właśnie niedawna dyskusya, jaka się odbyła na walnem zgromadzeniu lwowskiego Koła literackiego.

Członkowie tegoż stowarzyszenia obowiązani są mianowicie, w myśl zeszłorocznej uchwały, do składania 10 centów miesięcznie, na rzecz mającej się utworzyć fundacyi. Kwota to niewątpliwie drobna, zdawałoby się przeto, że każdy uiści się z chęcią z tego mikroskopijnego podatku. Fakta jednak sprawdzone na ostatniem zgromadzeniu, stwierdzają, iż na 400 członków wpłynęło tych wkładek zaledwie 200 złr. — co naturalnie wywołać musiało żywe niezadowolenie w pośród zgromadzonych. Podniesiono też słusznie zarzut, że „Koło“ zajmowało się dotychczas nie dość gorliwie sprawą tego funduszu, a wydział, pragnąc popchnąć rzecz na praktyczniejsze tory, zaproponował walnemu zgromadzeniu następujący wniosek:

„Walne zgromadzenie poleca wydziałowi, aby w porozumieniu z reprezentantami prasy utworzył przy wydziale komisyę funduszu zapomóg dla weteranów literatury i sztuki dla wdów i sierót po literatach i artystach, której zadaniem będzie wyszukiwanie środków, mogących ułatwić wzrost wzmiankowanego funduszu“. — Wniosek ten uchwalono większością głosów z tym dodatkiem, że Wydział ma obowiązek ściągać od wszystkich zaległe wkładki na powyższy fundusz.

Zrealizowanie tych projektów przyczyni się niewątpliwie do wzrostu powyższego funduszu, mimo wszystkiego jednak, będzie on zawsze jeszcze tak małym, że na razie niepodobna myśleć o jakiemkolwiek wsparciu potrzebujących z odsetek od uzyskanego kapitału. Byłoby więc bardzo wskazanem, ażeby Koło literackie nie zadawalniało się zbieraniem składek z pomiędzy członków jedynie. Inicyatywa powinnaby tu być podjętą na szerszą skalę. Naszem zdaniem, powinno Koło lwowskie porozumieć się przedewszystkiem z krakowskiem i z innemi stowarzyszeniemi tak literacko-artystycznemi, jak i naukowemi, jako to z Tow. Im. Mickiewicza, z Towarzystwem historycznem, z Tow. przyrodniczem Im. Kopernika i t. d. i zaproponować tymże, ażeby nałożyły na swoich członków podobnie mały haracz; dalej zaś powinno Koło zaapelować w pismach do ofiarności publicznej na cel ten, tak poparcia godny. Z administracyi pozyskanych w ten sposób funduszów, należałoby zdawać rokrocznie publicznie sprawę w dziennikach, a nie ulega kwestyi, że do drobnych wkładek przyłączyłyby się niebawem i hojniejsze zapisy. Podjęcie tej sprawy mogłoby liczyć na poparcie, ale byłoby zarazem szczytnym dokumentem działalności towarzystwa. Nietylko Galicya, ale niewątpliwie i inne prowincye polskie, pospieszyłyby z pomocą temu wielce szlachetnemu przedsięwzięciu. Kto wie nawet, czy znana hojność Warszawy, nie położyłaby kamienia węgielnego w tem doniosłem dziele. W każdym razie rzecz zasługuje na poważne refleksye i uwagę, to też przekonani jesteśmy, że całe dziennikarstwo w Galicyi, jako nieskrępowane cenzurą, otworzy swe łamy, dla omówienia kwestyi tak bardzo na czasie będącej.

Do pozytywnych rezultatów najskuteczniej dojść będzie można drogą publicznych dyskusyj. Byłyby one dalszem ogniwem tych, jakie podjęto na ostatniem walnem zgromadzeniu w lwowskiem Kole. Oby więc tylko nie rozciągnął swych skrzydeł nad tą sprawą — anioł apatyi i milczenia.*)

JEDEN Z INTERESOWANYCH.

*) Łamy naszego pisma stoją otworem dla dalszej w tej doniosłej sprawie dyskusyi.) (Przyp. Red.)

„MŁODZI“ W LITERATURZE SKANDYNAWSKIEJ.

(Dokończenie).

Silniejszym wyrazem opozycyi przeciw panującemu porządkowi społecznemu jest drugi utwór Garborga: „Chłopscy studenci“, w którym autor z nieubłaganą bezwzględnością obnaża rany społeczeństwa i odkrywa rozłam, istniejący pomiędzy dwoma stanami, kierującymi nawą społeczną: chłopstwem tubylczem, a napływową burżuazyą.

Daniel Braut, bohater powieści, jest typem chłopa, posiadającego zadatki najlepszych chęci, ale nie mającego ani siły, ani możności oparcia się pokusom upodlenia i upadającego wskutek, „dziedzicznie we krwi leżącego tchórzostwa chłopskiej natury, nie pozwalającej mu ani na chwilę zapomnieć, że jest synem ludu, członkiem kasty upośledzonej, której kark przywykł od wieków do ciężaru stopy najeźdźców“. W epoce, gdy „chłop“ w pojęciach ogółu był synonimem ideału człowieka, a chłopomania przechodziła w szał prawdziwy — dzieło takie, jak powieść Garborga było siarczystym policzkiem, wymierzonym całemu ogółowi i śmiałym protestem przeciwko krótkowidztwu i zaślepieniu społeczeństwa.

Daleko żywotniejszą i bardziej w sedno trafiającą, niż tendencya „Chłopskich studentów“ była atoli idea przewodnia, ożywiająca następny utwór Garborga p. t.: „Mężczyźni“. O ile bowiem tamta powieść zajmowała się kwestyą, należącą poniekąd do przeszłości, o tyle dotykała najnowsza stosunków, dążeń i prądów, będących „na czasie“ i podnosiła hasło żywotne i aktualne, które się w społeczności norweskiej przyjęło i spopularyzowało, jakkolwiek podobnie jak wszystkie inne, poprzednie i późniejsze, spełzło na niczem. Zdyskredytowanie kłamliwej moralności burżuazyjnego małżeństwa i przeniesienie całego ciężaru kwestyi kobiecej na grunt etyczny — poruszyło wszystkie umysły i wywołało niesłychaną wrzawę w narodzie. Czarnemi barwami odmalował Garborg w „Mężczyznach“, obraz stosunków społecznych, które z instytucyi małżeńskiej, etycznie wysokiej i nietykalnej — zrobiły siedlisko zgnilizny moralnej i fizycznej i rozsadnik wyuzdanej rozpusty; a mniej do panującego trybu życia „przystosowanym“ jednostkom obojga płci umożebniły wzajemne z sobą pożycie. Wskutek tego nabrał stosunek mężczyzny do kobiety charakteru obłudnego świętoszkostwa lub przygniatającego swoim ciężarem brzemienia. Autor przedstawia nam trzy typowe tego stosunku przykłady: W pierwszym musi biedak, kochający szczerze swoją narzeczoną, szukać pokątnych miłostek dla zaspokojenia swoich potrzeb zmysłowych, a nie może ani przez wzgląd na „przyzwoitość“ wyznać przed nią całej prawdy, ani w wzajemnem oddaniu się sobie, szukać ucieczki przed obłudą swego postępowania, gdyż tego zabrania mu „moralność publiczna“. W drugim: musi młodzieniec lata całe zwlekać z poślubieniem wybranej kobiety, ażeby w końcu u progu swego szczęścia, albo stać się zbrodniarzem, albo popełnić podłość, to jest, albo zarodkiem nabytej tymczasem choroby zatruć organizm żony, albo też opuścić ją przed ślubem, zwichnąwszy całą jej przyszłość. W trzecim wreszcie stara się mężczyzna uniknąć „więzów“ długoletniego pożycia przez wprowadzenie w czyn teoryi „wolnej miłości“. W poszukiwaniach za zwolenniczkami tej teoryi przetrząsa on wszystkie sfery towarzyskie, począwszy od „inteligentnej“, najmniej do przyjęcia jego zasad skłonnej, a skończywszy na „ludowej“, nie mającej dla nich żadnego zrozumienia i dochodzi wreszcie do przekonania, że ideałem „wolnej miłości“ jest mał-

żeństwo na miłości wzajemnej oparte. Urzeczywistnienie tego ideału znajduje też w końcu w pożyciu z kobietą „inteligentnej“ sfery.

Gniew i oburzenie bijące z każdego wiersza książki Garborga porwały za sobą tłumy, ale wyrobiły autorowi złą „kreskę“ u władz rządowych. Miary jego przekroczeń dopełnił wreszcie dramat: „Nieprzebłagani“, w którym poeta napiętnował haniebne rządy Svedrupa, upamiętnił jego zdradę sztandaru i haseł, w imię których przywódca radykałów zdobył sobie popularność i władzę i rządzącym sferom cisnął w oczy zarzut politycznej i moralnej korupcyi.

Utraciwszy za karę posadę urzędnika państwowego, usunął się Garborg w zacisze odległego zakątka górskiego i tam napisał najznakomitsze swoje dzieło, genialną satyrę na wychowanie i życie burżuazyi skandynawskiej.

W „U mamy“ złożył autor prawdziwe skarby spostrzeżeń, uwag i myśli, zebrane w czasie pełnego wrażeń żywota i stworzył arcydzieło, godne stanąć obok „Germinala“ Emila Zoli, tej prawdziwej epopei XIX. stulecia.

* * *

W szkicu powyższym podałem charakterystykę trzech najwybitniejszych pisarzy skandynawskich z obozu, którego moralnym przywódcą i teoretykiem jest znakomity krytyk duński, Jerzy Brandes. Na zakończenie pozwolę sobie słów kilka poświęcić wymienionej na początku niniejszej pracy książce Oli Hanssona, której przeważną część wiadomości o życiu i pismach charakteryzowanych powyżej autorów zawdzięczam. *„Das junge Skandinavien“* jest zbiorem luźnych szkiców i fejletonów, pisanych z prawdziwym talentem i werwą, ale posiadających tę wadę, że zbywa im na pogłębieniu i przedmiotowości naukowej. Stanowczy przeciwnik emancypacyi kobiet i gorący zwolennik Nietschego, zdaje się Hansson mieć bardzo powierzchowne pojęcie o najważniejszych nieraz zasadach naukowego socyalizmu, na karb którego często zabawne popełnia omyłki. Pomijając n. p. często sprzeczne z sobą sądy o poglądach społecznych Strindberga, nie mogę się wstrzymać od przytoczenia na tem miejscu zdania Hanssona, według którego najlepszym dowodem na socyalistyczne zapatrywania poety szwedzkiego jest jego ideał przyszłego ustroju społecznego na wzór „familisterów“ Godina, a politycznego na wzór dzisiejszej Szwajcaryi. (*sic*!) Gdzieindziej godzi Hansson misogynizm i teoryę arystokracyi duchowej z postulatami socyalizmu, aby po chwili podnieść z naciskiem zdanie Strindberga, że „proletaryat (uosobienie siły muszkułów) i kobieta (uosobienie chytrości) — to największe wrogi duchowego arystokratyzmu“. Oczywiście, że wobec takich sprzeczności, znajdujących się u Hanssona w ocenie poszczególnych pisarzy i utworów skandynawskich, nie mogłem się krępować subjektywnymi jego sądami o znanych mi faktach lub dziełach i poprzestałem na zużytkowaniu zebranych w jego książce wiadomości, jedynie jako materyału historycznego. Po za tem pominąłem też milczeniem wszystkie sądy Hanssona, podyktowane względami czysto osobistej natury, (jak np. w ocenie działalności Brandesa), starając się natomiast o jaknajźwięźlejsze i jaknajbardziej przedmiotowe przedstawienie rzeczy.

Ignacy Suesser.

MISCELANEA.

† Paweł Popiel, żołnierz szwadronów poznańskich z r. 1831, tajny radca cesarski, b. poseł na sejm krajowy, członek Akademii Umiejętności, honorowy obywatel m. Krakowa, zmarł tutaj w dniu 6 b. m., przeżywszy lat 85.

Śp. Popiel nazywany był powszechnie „przywódcą stronnictwa krakowskiego“. Należał on jeszcze do krak. Towarzystwa naukowego, które przeobraziło się w Akademię Umiejętności. JE. Popiel miał wielki mir u szlachty i cieszył się w szerokich kołach obywatelskich poważaniem i szacunkiem. Zmarły odznaczał się erudycyą i pisał dużo. Między innemi ogłosił drukiem list do J. Kremera: O prawie narodowem 1844. Józef Gołuchowski 1860 List do ks. I. Lubomirskiego 1865. Austrya, monarchia federacyjna 1866. Hr. Karol Montalambert 1870 i wiele mniejszych publikacyj, w których bronił spraw swego obrazu. Śp. Popiel był bratem ks. arcybiskupa warszawskiego, a ojcem p. Pawła Popiela b. profesora Szkoły głównej w Warszawie i tłómacza „Iliady“.

† Feliks Szynalewski, długoletni profesor szkoły sztuk pięknych w Krakowie, ceniony artysta-malarz (w dziedzinie obrazów treści religijnej), zmarł 11 b. m. Do uczniów śp. Szynalewskiego należeli: Matejko, Malczewski, Pochwalski i w. i. W krak. muzeum narodowem znajdują się dwa płótna Szynalewskiego: „Wieczerza pańska“ i „Męczennik chrześciański“.

*** W r. b. upływa lat 25 od chwili, gdy znakomity nasz feljetonista: Kazimierz Bartoszewicz rozpoczął swą literacką działalność. Wiadomo nam, że pierwsze prace, pióra p. Bartoszewicza (poezye i powiastki) ukazały się w roku 1867 w warszawskiej „Zorzy“, za redakcyi Grajnerta. „Myśl“ uważa sobie niejako za obowiązek przypomnieć społeczeństwu przypadający w r. b. ćwierćwiekowy jubileusz Kazimierza Bartoszewicza, który objął u nas opróżnione po śmierci Lama stanowisko i tak świetnie służył na niem literaturze ojczystej.

Nie należymy do żadnego obozu, a tem samem nie schlebiamy żadnej z koteryj — fakt ten pozwoli nam ocenić 25-letnią działalność Bartoszewicza przedmiotowo, ze stanowiska literackiego, co też niebawem uczynimy.

Z teatru.

(b.) Po takich bombach, jak „Uwielbiany morderca“ i „Roznosicielka chleba“, wystawił teatr krakowski, rozmiłowany w sztukach, robiących „kasę“ — farsę lichego gatunku Arwina (Zielińskiego) pt.: „Kruczek mecenasa“. Jeśliśmy o „Dobrym numerze“, komedyi, napisanej przez pp. Arwina i Abrahamowicza, powiedzieli, że nie wiele warta, to o sobotniej premierze, którą wybrał sobie na benefis p. Siemaszko — należałoby orzec, że właściwie nic nie warta.

Małżonkowie Lelewscy pragną się rozłączyć, z powodu ciągłych kłótni. Niby mądry „mecenas“ zmyśla rozwód (?), w przekonaniu, że się młodzi prędzej czy później pogodzą. Oczywista, że się tak dzieje, gwoli tryumfu adwokackiego kruczka.

Fabułę czuć starzyzną, odnawianą wielekroć przez francuskich i naszych farsistów. Dowcipy pieprzne i trywialne.

Farsę grano doskonale w odpowiedniem tempie. Z panów zasłużyli na uznanie: Siemaszko, Sobiesław i Solski, z pań Wojnowska, Siennicka, Trapszówna i Parysotówna.

*** W ostatnim numerze „Przeglądu Tygodniowego“ znajdujemy dokładne sprawozdanie z robót około budowy nowego teatru w Krakowie, pióra stałego referenta krakowskiego tego poczytnego pisma p. Joty oraz portret prof. Jana Zawiejskiego.

*** Prezesem koła literackiego we Lwowie obrano prof. Ludwika Kubalę, wiceprezesem hr. Skarbka, sekretarzem zaś dra Greka. Do wydziału wszedł między innymi: Jan Kasprowicz.

*** We Lwowie zawiązała się instytucya p. n.: „Filii komisyi Akademii Umiejętności dla historyi sztuki.“

*** Nakładem Akademii Umiejętności ukazała się broszura pt.: „Uchwały w sprawie pisowni polskiej“, poświęcona znanej już naszym czytelnikom sprawie ujednostajnienia ortografii. Publikacya zawiera opis przebiegu przewlekającej się akcyi od r. 1885, aż do chwili wypracowania przez Radę szkolną projektu, który stał się podstawą uchwał Akademii. Dalej znajdujemy w broszurze motywa, które skłoniły Akademię do powzięcia znanych uchwał.

P. Minister oświaty miał zażądać, aby w szkołach galicyjskich trzymano się ściśle ujednostajnionej przez Akademię pisowni.

*** P. Hauptman, autor „Samotników“ napisał nowy dramat pt.: „Tkacze“, który nie uzyskał aprobaty cenzury policyjnej w Berlinie.

*** Mascagni znalazł rywala w osobie młodego kompozytora Giordaniego, którego opera „Mala vita“, wystawiona w Rzymie, cieszy się wielkiem powodzeniem.

*** Wł. Motty, autor „Demona miłości“ napisał nowy dramat pt.: „W zapasach z losem.“

*** Teatr warszawski wystawia: „Bankrutów“ Konara (Kinderfreunda) i „Manfreda“ Byrona, w przekładzie p. G. Kempnera.

*** W Poznaniu odegrano sztukę konkursową Orszy pt.: „Kraj“, której nie pozwolono wystawić we Lwowie. Krytyka tamtejsza wyraża się o tym dramacie nader pochlebnie.

*** W teatrze hr. Skarbka debiutowały z powodzeniem panie: A. Bogusławska i W. Stępniewska, uczennice p. J. Kotarbińskiego.

*** Henryk Siemiradzki, twórca „Świeczników“, wykończył nowy obraz wielkich rozmiarów pt. „Wyrok Parysa“.

*** W wiedeńskim Burgu wystawiono tydzień temu sztukę P. Fuldy, autora „Raju utraconego“ pt.: „Niewolnica“ („Die Sclavin“). Dramat osnuty jak tytuł wskazuje, na tle kwestyi kobiecej, nie doznał powodzenia ani u krytyki, ani u publiczności. Charakterystycznem jest, że policya wiedeńska nakazała wycofać „Niewolnicę“ z repertuaru, pomimo, że dramat był już poprzednio cenzurowany.

*** W ostatnich numerach warszawskiej „Prawdy“ znajdujemy doskonale napisane studyum: „O Hermanie Sudermanie“ jako noweliście i powieściopisarzu, pióra p. Malwiny Pozner.

*** W paryskim teatrze Ambigu wystawioną będzie wkrótce nowa sztuka St. hr. Rzewuskiego, autora „Doktora Faustyny“ pt.: „Le Justicier“.

*** Nowa powieść Alfonsa Daudet'a pt.: „Róża i Nineta“ osnutą jest na tle stanowiska rozwiedzionych małżonków względem dzieci.

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. M. P. Wiadomo nam, że pismo to nie pomieszcza wcale recenzyj obszerniejszych, krom dorywczo kreślonych reporterskich notatek, tworzących łącznie kronikę bieżącą. Ostatniego, — jak p. P. pisze — „artykuliku“ nie mieliśmy dotąd przyjemności czytać, nie wiemy zatem, co kronikarz nabajał.

Autorem sylwetki napisanej na żądanie redakcyi „Przeglądu“ jest p. Józef Bornsztein.

P. St. Hor. w. L. Nie umieściliśmy w nr. 6-tym dla braku miejsca. Z uprzejmej oferty przekładu nie możemy już korzystać, wobec poprzednio zaciągniętych zobowiązań, których zawsze dotrzymujemy.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego. Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: Józef Tarczeński.

Zagadki, łamigłówki i rozrywki naukowe.

ŁAMIGŁÓWKA.

Początkowe litery, przeczytane z góry na dół, a końcowe z dołu w górę, dadzą nam myśl, wypowiedzianą przez Zygm. Krasińskiego.

1. Napis, często spotykany po ulicach, po domach, lasach, polach i t. p.
2. Ubranie Araba.
3. Rzeka, płynąca przez Morawię, Szląsk austr. i pruski.
4. Główna prowincya starożytnej Italii.
5. Może być skromne, albo bogate; ale każdy musi je mieć.
6. Na nie liczy kupiec; gdy ich nie ma, traci.
7. Miejscowość „perły“, spoczywającej w grobie.
8. Nimfa na wyspie Krecie, albo nazwa pewnej kozy.
9. Żyjątka wodne, z rodzaju małżynka.
10. Utwór poetyczny.
11. Przedmiot, dodający ciepła naszemu ubraniu.
12. Nazwa angielska małego okrętu.
13. Choć bez cukru, słodki bywa, na usteczkach rad spoczywa.
14. Ich składanie odbywa się nietylko monarchom, ale i płci pięknej.
15. Mieszkaniec ziemi Włoskiej.
16. Ma go na głowie kozak dnieprski.
17. Jenerał rosyjski, pochodzenia szkockiego.
18. Miasto moskiewskie, w gubernii Jekaterinosławskiej, od którego pochodzi nazwa jednego małego morza.
19. Nazwa grubej skóry.
20. Sławna Amsterdamska rodzina drukarzy.
21. Królowa polska, słowiańskiego pochodzenia.
22. Wyraz, utworzony przez Trentowskiego, na oznaczenie pewnej duchowej własności człowieka.
23. Taniec narodu z nami zaprzyjaźnionego, będącego pod panowaniem Austryackiem.
24. Miasto w Numidyi, gdzie św. Augustyn był biskupem.
25. Nieoceniony dar człowieka, bez którego życie byłoby mu niemiłem.
26. Drzewo, którego koniec dolny jest cieńszy od górnego.
27. Utwory poetyczne.
28. Drogocenny kamień.
29. Małe dodatki od podartego ubrania.
30. Produkt drzew.
31. Ś... ś.
32. Nazwisko Rzymianina, który poradził Cezarowi przekroczyć Rubikon.
33. Rodzaj gliny nieprzydatnej.
34. Choroba, panująca głównie w Azyi, którą ma leczyć roślina „Kuczukla“, rosnąca w Jakucku, na brzegach rzeki Ugur.
35. Miasto w Japonii na wyspie Niphon.
36. Przyrząd do łapania ptaków.
37. Nazwa pojazdu.
38. Znajduje się przy każdej siekierze.
39. Czworonożne zwierzę, żyjące w polach i lasach.
40. Do tego, gdy kto jest przyparty, wszystko wyzna.
41. Miasto węgierskie, nad rzeką Maros.
42. Drapieżne zwierzęta, rzadkie u nas, czyhające zwykle na drzewach na swoją zdobycz.
43. Zaimek dzierżawcy.
44. Miasto polskie nad Wisłą.
45. To samo, co pod Nr. 12.
46. Oznacza nieporządek, zamięszanie.
47. Nazwa jeziora Kanadyjskiego.
48. Mieszkaniec Wołoszczyzny.
49. Przyznający się do obcego nazwiska.
50. Utwory poetyczne nie wesołe.
51. Miasto nad jeziorem Augustowskiem.
52. Rzeka, wpadająca do zatoki Fryzkiej.
53. Nazwa łacińska władców rzymskich.
54. Plemię Pigmajów, u źródeł Nilu.
55. Metal barwy srebrzystej.
56. Gość nieproszony.
57. Nazwa strusia.
58. Nazwa piewcy średnich wieków
59. Miasto w Finlandyi
60. Nazwa robaka w domach bardzo pospol.
61. Gatunek skóry wyprawnej

Kto pierwszy nadeśle dobre rozwiązanie otrzyma, jako nagrodę, powieść T. J. Choińskiego pt.: „Po złote runo“.

Treść Numeru:

Do dzisiejszego numeru załączamy dla wszystkich naszych prenumeratorów prospekt na „Bibliotekę narodową“, wychodzącą w Gródku, nakładem J. Czaińskiego.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: **Józef Tarczeński.**